

W numerze: BOGDA MADEJ *Dziedzictwo* ● KONRAD FREJDLICH *Niemcy gotyckie, renesansowe, klasyczne* ● MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ *Wyprawa na Węgry* ● TERESA WOJCIECHOWSKA *Wieczór baletów polskich* ● HENRYK DUDEK *Batalia o podwieluńską ropę* ● *Zewsząd o wszystkim*

ODGŁOSY



8. XI. 1970 r.
45 (677)
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII



Fot: W. Parys

WITOLD SŁOTWIŃSKI

Rewolucja Październikowa a niepodległość Polski

DOSWIADCZENIA OSTATNICH LAT POKAZUJĄ, ŻE PROBLEM NARODU ZARÓWNO W OBOJEBIE SOCJALISTYCZNYM, JAK I KAPITAŁISTYCZNYM, PODLEGA USTAWICZNEJ AKTUALIZACJI. W NASZYCH WARUNKACH USTROJOWYCH NIE TRACI ON ZNAČENIA, JAK NIEKIEDY MNIEMANO, LECZ NABIERA NOWYCH TREŚCI. Co raz wyraźniej dostrzegamy dziś, że socjalizm rewolucjonizuje i pogłębia charakter współczesnej wsi narodowej, wieńczy proces przeobrażeń społecznych, charakteryzujący się poszerzeniem zdolności obejmowania wszystkich warstw społecznych i tym samym „unaradawia” najszersze masy ludowe, których świadomość narodowa dawniej była do pewnego stopnia ograniczona. Po raz pierwszy w dziejach stworzył on warunki dla przezwyciężenia dylematu — solidarność narodowa a klasowa.

Idea narodu jest pojęciem historycznym, odegrała, jak wiadomo, ogromną rolę w dziejach myśli społecznej i praktyki rewolucyjnej. Przesła ogromne przeobrażenia, aż do praktycznego wykorzystania jako hasło programowe nowoczesnych partii politycznych w walce o władzę. Pozorna sprzeczność między narodem — symbolem jedności a klasą społeczną — wyrazem konfliktów wewnętrznych, rozdzierających społeczeństwa i państwa, została ostatecznie wyjaśniona w marksistowskiej refleksji socjologicznej jeszcze w okresie poprzedzającym Rewolucję Październikową, a następnie w dobie tworzenia pierwszego państwa socjalistycznego oraz teoretycznej i organizatorskiej działalności Lenina. Hasło jedności narodowej wykorzystywała

Dalszy ciąg na str. 3

Czy znasz architekturę Łodzi?

Publikujemy dziś ostatnie zdjęcie w naszym konkursie. Zadanie dla naszych Czytelników jest proste — jaka to budowla?

Odpowiedzi prosimy nadsyłać na adres: ŁÓDŹ, „ODGŁOSY”, PIOTRKOWSKA 96 — tylko na kartkach pocztowych.

Na naszych Czytelników czekają nagrody w postaci bonów towarowych wartości:

I nagroda — 1500 zł

II nagroda — 1000 zł

III nagroda — 700 zł

oraz pięć wyróżnień w postaci wydawnictw albumowych.

Tak więc po ośmiu tygodniach kończymy konkurs, który zyskał sobie ogromne uznanie naszych Czytelników. Jak dotąd nadesłano około tysiąca odpowiedzi — w ogromnej większości prawidłowych. Czekamy na odpowiedzi dotyczące ostatniego już zdjęcia Łodzi. Za dwa tygodnie ogłosimy wyniki naszego konkursu.



Trwa okres aktywnej dyplomacji. W Organizacji Narodów Zjednoczonych odbyły się debaty bliskowschodnie, m.in. Gromyko odbył ważne rozmowy w Londynie, Berlinie i Frankfurcie nad Menem, w Warszawie na podwyższonym szczeblu, bo ministrów spraw zagranicznych: Jędrzejowskiego i Scheela, toczą się rokowania na temat układu Polski z NRF... Równocześnie daleki Pakistan gości przewodniczącego Rady Państwa PRL — marsz. M. Spychalskiego. Wystarczy przykładów, aby udowodnić prawdziwość pierwszego zdania komentarza. Niektórymi z wymienionych wydarzeń ostatniego tygodnia — chcemy się zająć szczegółowiej.

Zacznijmy od DEBATY BLISKOWSCHODNIEJ.

Jej przebieg poważnie zaniepokoił Stany Zjednoczone i Izrael. Wielu mówców, prezentując bowiem stanowisko swego kraju, wręcz domagało się, aby Izrael podjął rokowania. 16 państw (Afganistan, Burundii, Kamerun, Cezjon, Gwinea, Indie, Mali, Mauretania, Nigeria, Pakistan, Senegal, Somali, Uganda, Tanzania, Jugostawia i Zambia) przedstawiło projekt rezolucji, w której domaga się przyspieszenia wprowadzenia w życie postanowień Rady Bezpieczeństwa, stwierdzając jednocześnie, iż jest rzeczą niedopuszczalną, aby jakiegokolwiek państwo osiągnęło zdobycze terytorialne za pomocą siły.

Projektowi temu Stany Zjednoczone natychmiast przeciwstawiły własny. Ten jednak ani nie zawiera potępienia agresji, ani oświadczenia o niedopuszczalności dalszej okupacji ziem arabskich. Więcej — jego zgłoszeniu towarzyszyła próba zrzućcia winy za zawieszenie misji Jarringa na ZRA oraz usprawiedliwienie dostaw ofensywnej broni dla Izraela. Jak na ironię — amerykański projekt rezolucji kładzie nacisk na „przywrócenie atmosfery zaufania między stronami”, czyniąc z tego jak gdyby warunek wznowienia kontaktów pod auspicjami specjalnego przedstawiciela sekretarza generalnego NZ.

Komentatorzy są niemal zgodni, iż amerykańska wersja rezolucji Zgromadzenia Ogólnego ma wręcz proizraelski charakter. W odróżnieniu od projektu „16” nie przewidują więc możliwości jej przyjęcia. Jako, że trudno posądzać Stany Zjednoczone, aby nie zdawały sobie z tego sprawy — pozostaje tylko jedna możliwość, dlaczego ją zgłoszono: chodziło po prostu o blokadę projektu rezolucji 16 państw, a tym samym o zmniejszenie presji na Izrael w sprawie podjęcia rokowań.

PROBLEM BLISKOWSCHODNI był głównym tematem rozmów min. Gromyki w Londynie. Nie wiemy jeszcze czy ta bezpośrednia wymiana poglądów była owocna. Konserwatywny rząd W. Brytanii zajmuje zbyt zbliżone stanowisko do reprezentowanego przez Waszyngton, aby można było oczekiwać wyraźnego postępu.

W toku rozmów podjęto także sytuację na Półwyspie Indochińskim oraz zagadnienie europejskiego bezpieczeństwa. W tej ostatniej sprawie — sądząc po komentarzach prasy brytyjskiej — Londyn, dotychczas nieco sceptycznie nastawiony do koncepcji konferencji zdaje się, że zrewiduje swe stanowisko.

Jak już wspominaliśmy jednym z etapów podróży min. Gromyki był Frankfurt nad Menem, gdzie spotkał się on z Scheelem. Boński minister ujawnił następnie, że omawiano „problemy międzynarodowe, mające duże znaczenie dla Europy” oraz, że „chodziło zwłaszcza o przeprowadzenie ogólnoeuropejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa”. Rozmowa — powiedział Scheel na konferencji prasowej — wykazała istnienie korzystnych przesłanek dla stabilizacji pokoju w Europie.

Komentatorzy zachodniemieccy domyślają się, że przedmiotem rozmowy mogły być także zagadnienia Berlina zachodniego, ponieważ 4 listopada toczyły się będą nadal rokowania przedstawicieli czterech wielkich mocarstw na ten temat.

Spotkanie Gromyko Scheel wywołało żywe zainteresowanie opinii rządu Brandta, Kiesinger zarzucił wręcz, że termin wybrany został tak, aby wywarł wpływ na wynik wyborów do heńskiego Landtagu. W replice na to oskarżenie rzecznik rządowy oświadczył, że ataki CDU-CSU wskazują „na zazdrość opozycji, z jaką śledzi ona w ostatnich dniach pozytywny rozwój polityki wschodniej”.

POLITYKA WSCHODNIA. Właśnie rozpoczęła się w Warszawie ważna tura rozmów polsko - zachodniemieckich. Przyjazd min. Scheela do Polski poprzedziło niemal oficjalne zakomunikowanie, iż po kilku dniach rokowań przewidziany jest wyjazd bońskiego ministra do Bonn w celu wzięcia udziału w debacie europejskiej na forum Bundestagu, a następnie znowu powrót do Warszawy. Taki tok rozmów uzgodniony został ze stroną polską.

Ważny etap rokowań, jaki właśnie został zapoczątkowany wywołuje na łamach prasy zachodniemieckiej falę komentarzy. Przeważa w nich ton optymizmu co do możliwości sfinalizowania rozmów. Nie brak jednak i głosów przeciwnych, w czym prym wiodzie prasa konserw. Springera. Dopuściła się ona zresztą zwykłej nieuczciwości, ujawniając pewne szczegóły z przebiegu dotychczasowych rozmów. Ta zamierzona niedyskrecja jest jedną z prób przeszkodzenia pomyślnemu przebiegowi rozmów.

W. SŁAWSKI

Zawszqd o wszystkim

Zawszqd o wszystkim

Jedna współpraca nie wyklucza drugiej

„NATION” — PARYŻ

Podczas zaimprovizowanej rozmowy z dziennikarzami w Moskwie, Georges Pompidou chciał prawdopodobnie znów przedstawić pogląd, który stale wyrażał gen. de Gaulle: w dziedzinie polityki międzynarodowej jedna współpraca nie wyklucza drugiej.

Francja nigdy nie była zdania, iż kontakty nawiązane z Moskwą mogą przekreślić porozumienia zawarte z Bonn. Nieustannie zabiegała o zbliżenie obu swych partnerów. Dażąc do tego celu, Francja zawsze postępowala tak, aby żaden z nich nie stracił do niej zaufania.

W tym samym czasie Francja nie ukrywała swego punktu widzenia odnośnie osta-tecznego charakteru granicy niemiecko-polskiej, zwanej linią na Odrze-Nysie oraz wyrzeczenia się przez Niemcy zachodniej produkcji i posiadania broni jądrowej.

Radziecko - zachodniemieckie porozumienie umacnia odprężenie w stosunkach między Bonn i Moskwą. Po rozumieniu to, którego ratyfikację prezydent republiki uznał za pożądaną, może wpłynąć na powstanie sprzyjających warunków do prze-prowadzenia ogólnoeuropejskiej konferencji w sprawach bezpieczeństwa.

Francja dała już oficjalnie do zrozumienia, że jest za zwołaniem ogólnoeuropejskiej konferencji w sprawie bezpieczeństwa, której pragnie Związek Radziecki i kraje Wschodu.

Pomijając niepowodzenia, które na przestrzeni ostatnich 50 lat tak często prze-

śladowały tego rodzaju konferencje, nie należy zapominać o sytuacji w Europie, która nadal jest wyraźnie podzielona z racji odmiennych ustrojów politycznych, panujących w różnych krajach europejskich. Dlatego też taka konferencja, w której uczestniczyłby — i o tym trzeba pamiętać — wszystkie bez wyjątku kraje europejskie (a także Amerykanie) kryje w sobie ogromne możliwości.

Jasne, iż pozycja Francji i jej współpraca z Bonn i z Moskwą każą jej odegrać w tej konferencji szczególną rolę.

Jeśli nawet radziecko-zachodniemieckie stosunki handlowe pozostaną takie, jak obecnie, to jest bardziej ożywione, niż stosunki francusko-radzieckie — a zmiana tej sytuacji zależy w dużej mierze od dynamizmu na szczeblu przemysłu — to i tak Bonn nigdy nie zaimie w planach politycznych Moskwy takiej pozycji, jaką zajmuje tam Paryż. Francja, która nie prowadzi żadnej egoistycznej gry politycznej i dąży wyłącznie do pokoju i odprężenia w Europie, powinna nadal dążyć do wprawiania w ruch mechanizmu współpracy francusko-zachodniemieckiej oraz ulepszenia mechanizmu konsultacji francusko-radzieckiej, a to w tym celu, aby — jak powiedział prezydent Pompidou — włożyć weń „więcej treści i realizmu”.

Ta podwójna współpraca może doprowadzić tylko do pozytywnych wyników, z korzyścią dla naszych partnerów, dla nas samych i dla całej Europy.

Rdza atakuje kawę

„BUSSINES WEEK” — NOWY JORK

„Brazylia — kraina kawy” — tak brzmią słowa jednej ze starych pieśni brazylijskich.

Uprawa tej rośliny oraz produkcja zatrudniają 6 milionów ludzi i przynoszą krajowi 750 milionów dolarów dochodu rocznie.

Niewykluczone jednak, że już niebawem utraci Brazylia to źródło dochodu. Wszak i Anglicy, chcąc nie chcąc, stali się miłośnikami herbaty, kiedy to jakieś sto lat temu „rdza kawowa” (Hemileia vastatrix) całkowicie zniszczyła brytyjskie plantacje kawy na Celjonie. Obecnie ta groźna choroba — po raz pierwszy w historii Ameryki Łacińskiej — zagraża plantacjom kawy w Brazylii (dotąd „rdza” występowała we wszystkich rejonach uprawy kawy z wyjątkiem Ameryki Łacińskiej, wysp Hawajskich i Indii wschodnich. (Choroba ta obniża plony o 90 procent — red.).

Na początku bieżącego roku, dr agrrotechniki Arnaldo Gomez Madeiros dostrzegł na liściach drzewa kawowego w mieście Baía podejrzane plamy. „Rdza kawowa” Te dwa słowa zelektryzowały całą Brazylię. Ogniska choroby wykryto na obszarze 45 tys. mil kwadratów, co stanowi ok. 10 proc. powierzchni uprawy kawy

w Brazylii. Uporać się z „rdzą” jest niezwykle trudno. Po pierwsze uprawy brazylijskie nie są na nią uodpornione, a po wtóre atakuje ona odwrotną stronę liści, tzn. tę od ziemi, i w tej sytuacji opylanie upraw z samolotów nie daje efektów.

Ponieważ wszelkie zabiegi agrrotechniczne nie daly wnikąd, Brazylijczycy budują obecnie tzw. „strefę zaporową” — pas wypalanej ziemi długości 500 i szerokości 40 mil, co ma przeszkodzić rozprzestrzenianiu się choroby. Wszystkie drzewa kawowe w rejonie zakażonym zostaną zniszczone. Jednak niektórzy specjaliści są zdania, iż „rdza” przedostała się już przez „barierę zaporową”. Tak czy inaczej, szacuje się, iż w bieżącym roku zbiory kawy będą o połowę niższe, niż w roku ubiegłym i wyniosą około 12 i pół miliona worków.

Zaistniała sytuacja niepokoi nie tylko Brazylijczyków, lecz również i inne kraje południowoamerykańskie, uprawiające kawę. Kolumbia i Guatemala wysłały do Brazylii swych ekspertów, a w Costa-Rice odbyła się już narada specjalistów z krajów Ameryki Łacińskiej, na której rozważano najnowocześniejsze metody walki z Hemileia vastatrix.

Broń dla agresora

„ASSOCIATED PRESS” — NOWY JORK

Izba Reprezentantów Kongresu amerykańskiego zatwierdziła projekt ustawy, dotyczącej wyasygnowania 19,9 miliarda dolarów na potrzeby obrony, włączając do tego wydatki na dostawy broni do Izraela „w celu utrzymania równowagi militarnej na Bliskim Wschodzie”.

Przedstawiciel komisji do spraw sił zbrojnych USA w Izbie Reprezentantów, Mendel Rivers, powiedział, że Izrael „odpiera inwazję komunistyczną” na Bliskim Wschodzie. „Jeśli dostarczymy Izraelowi niezbędnych środków — oświadczył Rivers w Kongresie — wykonana on zadanie, jakim jest obrona naszych interesów w tym rejonie”.

Paragraf, zezwalający na nieograniczoną sprzedaż broni Izraelowi jest włączony do ustawy „o asygnowaniu środków na zakupienie rakiet, okrętów, samolotów oraz innej broni na potrzeby amerykańskich sił zbrojnych”.

„Chociaż w tym paragrafie, włączonym do ustawy o potrzebach obrony, wymieniono nie tylko samoloty i uzbrojenie towarzyszące — powiedział Mendel Rivers w Izbie Reprezentantów — to jednak oznacza to, iż ustawa obejmuje szeroki wa-

chlarz uzbrojenia, a w tym także czołgi i armaty”.

Amerykańskie osobistości oficjalnie utrzymują, że Izraelowi pozwoli się na kupno nie tylko takich samolotów, jak ponaddźwiękowe bombardujące „Phantom” i urządzenia elektroniczne do neutralizowania rakiet przeciwlotniczych, lecz również amerykańskich rakiet przeciwlotniczych i w ogóle każdego rodzaju broni.

Rakiety przeciwlotnicze sprzedawano już Izraelowi poprzednio, podobnie zresztą jak czołgi i innej ciężkiej sprzęt bojowy, jednakże kongresmeni żądali, rzecz jasna, aby w ustawie dokładnie wymienić, jaki mianowicie sprzęt wojenny może kupić Izrael w Stanach Zjednoczonych.

Ponieważ wspomniana ustawa „o asygnowaniu środków ograniczeń walutowych ani też kredytu, wada USA mają pełne prawo prowadzić w stosunku do Izraela najbardziej liberalną politykę w zakresie sprzedaży broni.

W uzupełnieniu nowych założeń kredytowych rząd USA jest gotów sprolongować Izraelowi poprzednie długi, zaciągnięte w związku z zakupami sprzętu wojennego.

W pogoni za taną siłą roboczą

„TIMES” — LONDYN

Zachodniemieckie towarzystwo handlowe „Rollei-Werke” pozostaje obecnie daleko w tyle za japońskim konkurentem pod względem sprzedaży aparatów fotograficznych. Oplacając robotników bardzo nisko, firmy japońskie szybko zdobyły rynek, sprzedając swoje wyroby po cenach dwukrotnie niższych od cen produktów NRF.

Niedawno kompania „Rollei” postanowiła pobić Japończyków ich własną bronią. Oto kosztem 12 i pół miliona dolarów wybudowała ona w Singapurze fabrykę aparatów fotograficznych (plac miejscowych robotników są sześciokrotnie niższe, niż w zachodnich Niemczech i półtora raza niższe, niż w Japonii).

Trudno przewidzieć jak długo zdoła „Rollei” konkurować z Japończykami, bowiem i oni są w trakcie budowy nowych fabryk w krajach, w których siła robocza jest jeszcze tańsza... Przez ostatnie cztery lata, w samym tylko Syjamie, pracują fabryki wybudowane przez 40 różnych japońskich towarzystw handlowych. Robotnikom płaci się tutaj trzy razy mniej niż w Japonii.

Pogoń za zdobyciem taniej siły roboczej odbywa się w całym świecie zachodnim, a prym wiodą w niej na razie firmy amerykańskie. Początkowo zawierały one tzw. subkontrakty z japońskimi i zachodniemieckimi kompaniami. Na przykład „Ford-Motor” zawarł taką umowę z „Tokio Sibaura Denki” na produkcję silników do fordowskich modeli samochodów na rok 1971. Po tem Amerykanie przenieśli produkcję wielu detali samochodowych na terytorium innych krajów azjatyckich.

Obecnie wielki amerykański koncern elektroniczny wysłał do Seulu wszystkie detale pewnych urządzeń. Tam się je montuje, po czym gotowe już elementy wracają do USA, gdzie z kolei używa się ich do produkcji elektronicznych maszyn obliczeniowych. Uzyskane stąd zyski („oszczędności” na funduszu plac) są ogromne; kompania płaci południowo-koreańskim robotnikom ośmiem razy mniej, niż musiałaby płacić swoim robotnikom w Kalifornii!

W ślad za Amerykanami na poszukiwania taniej siły roboczej ruszyły monopole zachodniej Europy. Szwedzka firma „Svidens Saab” uruchomiła niedawno nową fabrykę samochodów w Finlandii (fińskim robotnikom płaci się dwukrotnie mniej). Ogromna włoska firma elektrotechniczna „Societa Generale Semiconduttori” zainwestowała półtora miliona dolarów w budowę fabryki w Singapurze. W tym samym czasie mnóstwo przeróżnych maszyn i urządzeń elektrycznych, noszących nazwy zachodniemieckich, francuskich i holenderskich firm elektrotechnicznych wykona li...włoscy robotnicy. We Włoszech bowiem siła robocza jest najtańsza ze wszystkich krajów „Wspólnego Rynku”.

Według danych amerykańskich, budowa fabryk za granicą pozbawiła robotników USA około 700 tysięcy miejsc pracy. W dodatku przy 5 milionach bezrobotnych! We Włoszech 540 tysięcy ludzi nie ma pracy, półtora miliona Włochów szuka jej poza granicami kraju, a włoskie monopole lokują swój potencjał produkcyjny w Singapurze!...

(W. SŁ.)

Zawszqd o wszystkim

Zawszqd o wszystkim

burżuazja w walce przeciw zagrożeniu klasowemu, stąd też we wczesnych fazach ruchu proletariackiego występowało dążenie do odcięcia się od hasła narodowego — jako klasowo obcego. Gdy klasa robotnicza zyskuje na siłach, a ruch proletariacki staje się coraz ważniejszym czynnikiem życia społecznego i politycznego, postępuje proces dojrzenia świadomości związku, jaki istnieje między interesem narodu a proletariatem. Oznacza to coraz częstsze podejmowanie problematyki narodowej przez ruch robotniczy i jego ideologów. Głośny cytat Karola Marksa z „Manifestu Komunistycznego”: „Robotnicy nie mają ojczyzny”, wielokrotnie przytaczany po-

nych. Fetyszyzując więzi społeczno-ekonomiczne, w hasle niepodległości Polski Róża Luksemburg widziała reakcyjny konserwatywizm. Lenin podjął pryncypialną polemikę i krytykę całości poglądów Róży Luksemburg w kwestii narodowej, dostrzegając w nich poważne niebezpieczeństwo zwłaszcza dla polskiej rewolucyjnej myśli i praktyki. W polemicznym szkicu „O prawie narodów do samookreślenia” Lenin stwierdza: „W lęku, by nie „pomóc” nacjonalistycznej burżuazji Polski Róża Luksemburg swym negocjowaniem prawa do oderwania się w programie rosyjskich marksistów pomaga faktycznie czarnocięcom Wielkorusom. Pomaga ona faktycznie oportunistycznemu pogodzeniu się z przywilejami (i gorzej niż z przywilejami) Wielkorusów.

ne” środowisko polskie inspirowało głęboko przewidywając myśl Lenina, że w wielonarodowym państwie rosyjskim istnieje dwa „najbardziej wyodrębnione w skutkach całego szeregu warunków historycznych i bytowych narody, które by mogły najłatwiej i „najnaturalniej” urzeczywistnić swoje oddzielenie się. To Finlandia i Polska”. (Lenin, Dz. t. XIX, s. 239 — 240). Myśl tę podtrzymał Lenin również w 1913 roku. Wiadomo też, że właśnie rewolucja socjalistyczna w Rosji umożliwiła to „oddzielenie się”. I chociaż w obu wspomnianych państwach władzę polityczną zdobyła burżuazja, już po trzydziestu latach — nowe pokolenia narodu polskiego i fińskiego, oczywicie na różnych zasadach, weszły na drogę przyjaźni ze Związkiem Radzieckim. Z licznych wypowiedzi Lenina wynika, że liczył się on i z tą ewentualnością. Analizując program SDPRR w kontekście prawa narodów do samookreślenia, jedną z pierwszych kwestii była dlań sprawa realności szans odzyskania przez Polskę niepodległości przed zwycięstwem rewolucji socjalistycznej w Europie. W wyniku tej analizy Lenin dochodzi do wniosku, że w ówczesnych warunkach mało prawdopodobna jest możliwość zrealizowania prawa do samostanowienia przez jakikolwiek naród, w tym i przez naród polski. Nie absolutyzuje jednak tej sprawy, jak to czyniła Róża Luksemburg. Lenin liczył się z taką możliwością „...i dlatego ruch robotniczy, walcząc o rozwiązanie kwestii narodowej na gruncie socjalizmu, nie powinien wciągać sobie ręk na wypadek, gdyby w poszczególnych przypadkach okazało się możliwe uzyskanie przez ten lub inny naród uciskany niezawisłości w warunkach kapitalizmu”. A. Werblan, Miesięcznik Literacki nr 3, 1970 rok). Ścisłej — Lenin pisze na ten temat: „Nie ulega wątpliwości, że odbudowa Polski przed upadkiem kapitalizmu jest w najczystszej stopniu nieprawdopodobna, nie można jednak twierdzić, że jest ona zupełnie niemożliwa, że burżuazja polska nie może przy pewnych kombinacjach wypowiedzieć się za niepodległością itd. To też socjaldemokracja rosyjska bynajmniej nie wiąże sobie rąk. Liczy się ona ze wszystkimi możliwościami, a nawet w ogóle ze wszystkimi dającymi się pomyśleć kombinacjami, gdy wysuwa w swoim programie prawa narodów do samookreślenia”.

przejął na siebie odpowiedzialność za zmiany ustrojowo-społeczne w Rosji. Z tych samych powodów polski ruch robotniczy przejął odpowiedzialność za walkę o niepodległość, demokrację i socjalizm w Polsce. W nowej sytuacji historycznej hasło „narodowe powstania antyrosyjskiego”, propagowane przez Piłsudskiego, straciło swoje dawne, rewolucyjne treści. Idea powstania zaczęła torować drogę separatyzmowi i nacjonalizmowi. Wolna Polska mogła powstać tylko w wyniku zburzenia feudalnych struktur zaborców i w sojuszu polskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego z proletariatem Rosji, Austro-Węgier i Niemiec. Sojusz taki po odrzuceniu luksemburgistowskiego ujęcia kwestii narodowej był możliwy i niezbędny. Jednak na przeszkodzie stanęły między innymi zasadnicze rozbieżności między tymi partiami. Lenin podkreślał, że nie dążenie do Polski niepodległej dzieli PPS od rosyjskich marksistów, lecz „zapoznanie stanowiska klasowego, zaciętnie go szowinizmem, naruszanie jedności toczącej się walki politycznej — oto co nie pozwala nam widzieć w PPS prawdziwie robotniczej partii socjaldemokratycznej” (Lenin, Dz. t. VI, s. 471—472).

Ewentualne odzyskanie przez Polskę niepodległości w wojennym sojuszu z jednym z bloków imperialistycznych, stawiane przez prawicę PPS — Lenin określał jako odstępstwo od socjalizmu i przejaw tendencji nacjonalistycznych. „Być zwoleńnikiem wczymś ogólnoeuropejskiej po to jedynie, by odbudować Polskę, to znaczy być nacjonalistą najgorszego gatunku” (Dz. t. XXII, s. 399).

Krytyka poglądów Róży Luksemburg w kwestii narodowej — (a dodać należy, że stanowisko to nie było odosobnione w sferach radykalnej lewicy socjalistycznej) — stworzyła możliwość wykorzystania przez marksistów polskich narodowych aspiracji dla organizowania mas do walki o zmianę struktury społecznej i zwycięstwo socjalizmu. W polskiej myśli rewolucyjnej przez długie lata nie potrafiono przezwyciężyć dwóch skrajności: albo absolutyzowano rolę więzi narodowej w walce klasowej i odrywano ją od społecznych aspiracji mas pracujących w sytuacji międzynarodowej Polski, albo wulgaryzowano klasowe pojęcie kwestii narodowej i tym samym sprowadzono ruch narodowo-wyzwo-

Rewolucja Październikowa a niepodległość Polski

za kontekstem zdań następujących — był wykorzystywany przez tych, którzy dowodzili, iż marksizm zasadniczo odrzuca kategorię patriotyzmu. To uproszczone rozumowanie, które wywołało tak wiele kontrowersji, podał wnikliwej krytyce Lenin, pisząc: „Narody są nieuniknionym wytworem i nieuniknioną formą burżuazyjnej epoki rozwoju społecznego. I klasa robotnicza nie mogła okrzepnąć, zmechnieć, uformować się nie „konstituując się w granicach narodu”, nie będąc „narodową” („aczkolwiek bynajmniej nie w znaczeniu burżuazyjnym”). Lecz rozwój kapitalizmu coraz bardziej i bardziej łamie przegrody narodowe, znosi narodowe odosobnienie, stawia na miejsce antagonizmów narodowych — klasowe. W rozwiniętych krajach kapitalistycznych całkowitą prawdą jest przeto, że „robotnicy nie mają ojczyzny” i że „zjednoczona akcja” robotników przynajmniej krajów cywilizowanych jest jednym z pierwszych warunków wyzwolenia proletariatu” (Manifest Komunistyczny).

Podobnie jak Marks i Engels, Lenin wysuwa tu zagadnienie solidarności międzynarodowej. Jest przekonany, że rozwój kapitalizmu zmusi proletariatu do jednoczesnego wystąpienia przeciw burżuazji. Pogłębiając swoją analizę dochodzi jednak do wniosku, że istnieje możliwość zwycięstwa rewolucji w jednym kraju. Głównym powodem, dla którego Lenin zajął się naukowym wyjaśnieniem często wcześniej nie dopowiedzianych kwestii, były potrzeby strategii i taktyki ruchu rewolucyjnego. Miało to w przyszłości odegrać istotną rolę w walce o zdobycie władzy i utrwalenie zwycięstwa klasy robotniczej nie tylko w Rosji.

Zagadnienie narodu nabrało jeszcze większego — jeśli nie podstawowego znaczenia w dwudziestolecie poprzedzającym I Wojnę Światową.

Przyczyny wzmoczonego zainteresowania tym problemem ze strony teoretyków ruchu robotniczego leżą w jego rozwoju zwłaszcza w wielonarodowych mocarstwach środkowej i wschodniej Europy. Przed partiami socjalistycznymi krajów, o których mowa, stało się całe szeregi problemów narodowościowych. Równocześnie narastający konflikt światowy spiętrzal je o aspekt stosunku klasy robotniczej do istniejącego burżuazyjnego państwa i do narodowej ojczyzny. W ten sposób powstał węzeł dla wielu nie do rozwiązania: jak pogodzić interesy narodowe własnej ojczyzny z interesami robotnika francuskiego, niemieckiego czy rosyjskiego — sojuszników klasowych z przeciwnej strony granicy.

Radykalny nurt ruchu robotniczego podzielony był w kwestii narodowej na dwie przeciwstawne orientacje — luksemburgizm i leninizm. Nie ujmując w niczym ogromnemu dorobkowi teoretycznemu Róży Luksemburg, trzeba stwierdzić, że absolutyzowała ona sprzeczności klasowe do tego stopnia, że przesłoniły one zasadniczej wagi kategorii interesów narodowych i więzi narodowych. Tym samym, przyczyniła się do skomplikowania i tak już złożonej problematyki. Będąc współzależną i przywódczynią partii SDKPiL swoim autorytetem i pozycją w międzynarodowym ruchu robotniczym wprowadziła wiele zamętu teoretycznego. Trafiając na podatny grunt, charakteryzujący się zdeformowanym składem społecznym i narodowościowym partii SDKPiL, a później KPP, miała wpływ na stosunek tych partii do narodowych aspiracji klasy robotniczej, także do odróżnienia państwowości polskiej. Róża Luksemburg twierdziła korzeniami w grzeszczu ideologii II Międzynarodówki i chociaż z wieloma poglądami polemizowała, to jednak wiele z nich uznawała i głosiła; niektóre z nich o kapitalnym wręcz znaczeniu nie sprawdziły się. W latach późniejszych przeniosły się na działalność polskiej lewicy socjalistycznej i komunistycznej lat międzywojennych.

W zapale walki z nacjonalizmem w Polsce — Róża Luksemburg zapominała o nacjonalizmie Wielkorusów, chociaż ten właśnie nacjonalizm jest obecnie najstraszniejszy, jest właśnie mniej burżuazyjny, a bardziej feudalny, jest właśnie głównym hamulcem demokracji i walki proletariackiej”. (Lenin, Dzieła t. XX, s. 437).

Zródłem i natchnieniem leninowskiej koncepcji rozwiązywania kwestii narodowej był głęboko pojęty konkretny i na wskroś humanistyczny internacjonalizm proletariacki. W nim także widział Lenin ogromną szansę i warunek przetrwania dla ludzkości. Z perspektywy naszych dni te przewidywania są szczególnie przejrzyste. Widoczna jest tu wyraźna jedność pojmowania tych tak ważnych zagadnień — internacjonalizmu i kwestii narodowej. Lenin z jednaką pryncypialnością i głębokim uzasadnieniem traktował obie te płaszczyzny, tworząc już wówczas podstawy pod późniejszą jedność, złączonych sojuszem narodów socjalistycznych. Dlatego należy z naciskiem podkreślić — i dziś aktualną myśl — że do osiągnięcia prawdziwej jedności ruchu robotniczego wiedzie droga poprzez prawidłowe rozwiązanie kwestii narodowej.

Bezpośrednim motywem do zajęcia się tym problemem była, jak już wspomnieliśmy, polemika z Różą Luksemburg czy też ze stanowiskiem Zarządu Głównego SDKPiL, co do politycznego widzenia spraw narodowych. Jednakowoż Lenin nie zamykał sprawy li tylko na konkretnej dyskusji. Zmierzal on do zsynchronizowania i kompleksowego wypracowania marksistowskiego stanowiska wobec kwestii narodowej doby imperializmu i rewolucji socjalistycznej. Problem ten był o tyle jeszcze znamienity, że kojarzył się ściśle ze sprawą polską. Dlatego wybór Krakowa w 1912 roku na tymczasowy pobyt Lenina nie był przypadkowy i nie można go tłumaczyć tylko ułatwieniem kierowania sprawami Dumy państwowej wobec gotującej się rewolucji w Rosji. Dla takich celów mógł Lenin wybrać dziesiątki innych miejscowości poza ziemiami polskimi. Lenin miał — jak się wydaje — na uwadze dokładniejsze zglebienie kwestii narodowej tam, gdzie była ona najostrejsza w myśli swej zasady: „...zbadać, przestudiować, odnaleźć, odgadnąć, uchwycić to, co pod względem narodowym jest swoiste, specyficzne w konkretnym dla każdego kraju podejściu do rozwiązania jednego wspólnego zadania międzynarodowego...” (Lenin, Dz. t. XXXI, s. 79). Właśnie Polska, jako jedynolity organizm kulturowy mimo ponad wiek trwających zaborów mogła stanowić dla Lenina trafne miejsce obserwacji i studiów uzupełniających dla kształtowania jego teorii w sprawie, którą nazywamy kwestią narodową. Na to wskazuje działalność i tematyka prac opublikowanych w bliskim kręgu czasowym pobytu Lenina w Polsce: 1913 rok — „Uwagi krytyczne w kwestii narodowej”, „Nacjonal-liberalizm a prawo narodów do samookreślenia”, „Nowoje Wremia” i „Riecz” o prawie narodów do samookreślenia”.

1914 rok. „Lenin wygłasza w Paryżu referat pt. „Kwestia narodowa”. — referat w Liege pod tym samym tytułem, ten sam referat wygłasza Lenin w Lipsku, publikuje artykuł „Jeszcze o nacjonalizmie” i szereg innych prac.

Tezę tę zdaje się potwierdzać świadectwo Nadzieży Krupskiej: „...gdyby nie było okresu półemigracji krakowskiej, podczas którego Iljicz kierując pracą frakcji dumskiej napotykał różnorodne zagadnienia z dziedziny gospodarczej i kulturalnej w jak najbardziej konkretnej formie, byłoby o wiele trudniej w pierwszym okresie po Październiku od razu uchwycić wszystkie niezbędne ogniska budownictwa państwa radzieckiego. Okres krakowski był w swoim rodzaju „kleską wstępną” budownictwa socjalistycznego”. (N. Krupskaja, Wspomnienia o Leninie, Moskwa 1968 rok, s. 217). To „specyficznie konkret-



Zdjęcie archiwalne

(Lenin, „Kwestia narodowa w naszym programie”, Dzieła, t. VI, W-wa, 1952, s. 471).

Jest to konkretna, dialektyczna analiza wszystkich możliwości, jakie mogą się pojawić w nowej i stale zmieniającej się sytuacji historycznej. Lenin nie trzyma się sztywno żadnego dogmatu i poszukuje takiej formuły, która pozwoliłaby stawiać i rozwiązywać kwestię narodową we wszystkich coraz to nowych sytuacjach dziejowych.

Jak wiadomo, obok nurtu skrajnej lewicy polskiego ruchu robotniczego SDKPiL, później KPP — istniał drugi nurt reprezentowany przez PPS i od 1906 roku jej lewo skrzydło — PPS-Lewica. Ukształtowanie się tych dwóch nurtów i partii oraz ich wzajemna rywalizacja były — jak podają w formie hipotezy niektórzy historycy (Anna Zarnowska i Marian M. Drozdowski) — wypadkową stosunku do hasła niepodległości (pomijając różnice w ujęciu programu politycznego i społecznej taktyki walki). Sekciarsko-dogmatyczny stosunek do kwestii narodowej ułatwił ekspansję nacjonalistycznych tendencji w niektórych kręgach klasy robotniczej, a zwłaszcza w środowiskach inteligencji, w których PPS miała większe wpływy i poparcie. Lenin poddał wnikliwej krytyce program narodowy PPS, porównując tę partię z polską odmianą mieniszewizmu i eserów, posługując się wnikliwym rozumowaniem historycznym. Tę zmianę widzi on w faktie powstania rewolucyjnego ruchu robotniczego w Rosji. O ile w XIX wieku narodowe powstania Polaków powodowały, że „Polska była istotnie ostoją cywilizacji przeciw caratowi, była czołowym oddziałem demokracji” — jak stwierdza Lenin — to pod koniec XIX i na początku XX wieku rewolucyjny ruch rosyjski

leńczy wyłącznie do walki klasowej; wszystkie zaś typy konfliktów społecznych do konfliktów klasowych. Echa tych dyskusji i nieporozumień politycznych znajdziemy w działalności i głośnych polemikach — Wery Kostrzewy, Adolfa Warskiego, Feliksa Dzierżyńskiego i innych. Znamiennym dla tych dyskusji, błędów i poszukiwań jest pełen refleksji politycznej list wybitnego działacza SDKPiL, a później KPP i międzynarodowego ruchu robotniczego, bliskiego współpracownika Lenina w czasie Rewolucji Październikowej i wojny domowej, Feliksa Dzierżyńskiego — do robotników polskich Dolbysza: „Dla Polski, dla jej losów decydującą jest sprawa sojuszu robotnika i włościanina pod kierownictwem Partii Komunistycznej. Gdybyśmy podczas wojny imperialistycznej rozumieli byli wówczas leninowskie nauki, być może losy Polski byłyby inne i mielibyśmy Polskę socjalistyczną, wolną sojuszem ze Związkiem Republiki Radzieckiej. O tym właśnie winniśmy pamiętać. I druga sprawa jest nie mniej ważna. Sprawa narodowościowa. I w tej sprawie praca Wasza może mieć doniosłe znaczenie i w tej dziedzinie należy iść drogami wytkniętymi przez Lenina. Omyłką naszą (byłoby SDKPiL) było negowanie prawa narodów do samookreślenia aż do oderwania, co zawsze nam zarzucał Lenin. Nie rozumieliśmy tego i przegraliśmy w walce o niepodległą Polskę socjalistyczną. Tylko zrozumienie i naprawienie tego błędu, zastosowanie nauk Lenina prowadzi do zwycięstwa”. (F. Dzierżyński Dzieła wybrane, W-wa 1951 rok, s. 116).

P. S. Inspiracją do tej publikacji był odczyt wygłoszony przez autora artykułu na Uniwersytecie Łódzkim.

WITOLD SŁOTWIŃSKI

W 20-lecie Nowej Huty zdarzyła mi się wycieczka do tego miasta, obok którego leży Kraków. Jak przystało na rok 70-ty odwiedziłem je wygodnie, ogrzanym autokarem, w towarzystwie pięćdziesięciu takich jak ja. Do tej pory w moim fachu każdy wołał indywidualnie, własnym przemysłem i sposobem odwiedzać, zwiedzać i zbierać materiał do reportażu. Wi docznie szal kursokonferencji, jaki ostatnio ogarnął nasz piękny kraj, nie ominął i mego szlachetnego zawodu. Jeździłem więc sobie po Nowej Hucie jak zagraniczny turysta szlakiem utartym i oznakowanym przez PTT-K. Drogi tu szerokie, bite, gładkie i długie, więc pomysł, żeby to co powstało z wysiłku woli, marzeń, ambicji i wyobraźni technicznej całego narodu, obejrzyć przez okno autokaru, choć może bliźniaczy, nie jest zły. Po prostu praktyczny. Nowa Huta to dziś wielki obszar składający się z wielu osiedli o ciepłych nazwach: Słoneczne, Zielone, Wilłowe, Góraki, Wandy i Szklane Domy. Miał czas, kiedy całe miasto było jednym wielkim awaryjnym hotelem robotniczym, a dzielnicie zakamuflowane były pod tajemniczymi kryptonimami: A-1, A-2, B-3, C-O, D...

Osiedla te na pierwszy rzut oka niewiele różnią się od tych, które spotykamy codziennie w innych miastach polskich. Dopiero po obejrzeniu całości wyłania się z nich mozaika wszelkich typów i stylów, tworząc coś na kształt skansenu architektonicznego. Spotkać tu można więc swojski styl „mariensztacki”, później „MDM-owski”, wreszcie „szwedzki”, no i obecnie „wielkoblakowy” i „wielkopłytyowy”. W sumie pełen asortyment sukcesów i porażek polskiego budownictwa powojennego. Najokropniejszy jest biurowiec dyrekcji Kombinat, masywny, pompacyjny, wywodzący się z epoki gigantomanii, zwany pogardliwie przez robotników „pałacem dołów”. Warto przypomnieć, że powstał wtedy, kiedy większość budowniczych Nowej Huty mieszkała jeszcze w barakach, a junacy „Służby Polsce” nawet w namiotach.

Sławne wówczas były murarskie trójki, owe gwiazdy, których portrety naturalnej wielkości widniały co krok na centralnych placach wielkich miast jak dziś reklama „Zywej Welny” czy nie przymiemy rżając zapowiedź występów Wojciecha Młynarskiego. Najslawniejsza była jednak brygada Piotra Ożańskiego, która w ciągu ośmiu godzin ułożyła 34.778 sztuk cegły. Był rok 1950. Tacy byli idole ówczesnej młodzieży. Dziś bohaterów pracy wyimpasowali bohaterowie piosenek, a romantyzm pracy zastępują bodźce materialnego zainteresowania. Ale jak to zwykle z żywymi idolami bywa, Ożański się póź niej rozpił i rozchulił, przynosząc wstyd sobie i kompromitując zaszczytny tytuł bohatera pracy socjalistycznej. W krótkim czasie dobrą sławę zrównoważył złą sławą i wyszedł na zero. Po jakiejś większej rozrobie postanowił więc zniknąć, wyjechał w Olsztynskie, zaszył się tam na trzy lata w jakimś PGR i oczekiwał aż wszyscy o nim zapomną. Okazywało się, że ciężar popularności był ponad jego siły. Potem wrócił jak gdyby nigdy nic, zdobył solidne kwalifikacje i po dzień dzisiejszy pracuje w hucie jako brygadziśta. Jest jednym z wielu, którzy tworzą tutaj „społeczność, społeczność normalną, ustabilizowaną, daleką od egzotyki pionierskiego okresu kiedy to junacy dynamitem wysadzali stare austriackie forty Dzieci pierwszych junaków „Służby Polsce” którzy dynamitem i łopatomy budowali zęby jak się to wtedy pięknie nazywało, wchodzą obecnie w okres pro-

dukcyjny. Miały się gdzie uczyć, ponieważ na terenie Nowej Huty istnieje aż 58 szkół, w tym większość to szkoły zawodowe. O pracę też nie muszą się martwić, czeka na nich sporo roboty. Kombinat się ciągle rozbudowuje, a perspektywom końca nie widać. Jego obszar wynosi 1.600 hektarów. Koszt do tej pory — 36 miliardów złotych, roczna produkcja stali — 4,5 miliona ton. Inwestycja oczywiście już dawno się wypłaciła społeczeństwu, teraz przynosi zyski. I ciągle rośnie, ciągle coś przybywa. lawinowo toczy się rozwój wielkiej metalurgii.

Początkowo Nowa Huta miała dawać zaledwie 3,3 miliona ton stali rocznie. Przewidywano, że będzie zatrudniać 10.000 osób, dziś pracuje tu trzykrotnie więcej. Samo miasto miało liczyć zaledwie 70.000, obecnie mieszka tu już prawie 160.000 ludzi. Miała też być Nowa Huta miastem wydziałowym, samodzielnym, konkurującym niejako ze starym Krakowem. Swe

KAROL BADZIAK

Reportaż dla dorosłych

go czasu mówiło się o niej i pisało jako o mieście socjalistycznym, w rezultacie stała jedną z dzielnic Krakowa. Jest największą dzielnicą Krakowa.

Mało kto już dziś pamięta, że koncepcja tej wielkiej budowy, właściwie największej na przestrzeni nowego powojennego 25-lecia, zrodziła się w 1947 roku. Decyzja zapadła w roku 1948 na Kongresie Zjednoczeniowym PPR i PPS. Jest więc Nowa Huta pomnikiem zjednoczonego polskiego ruchu robotniczego. Decyzja tej budowy była decyzją nie tylko gospodarczą, lecz także polityczną. Pierwotnie zamierzano postawić ten ogromny kombinat w okolicach Dzierżna nad Kanalem Gliwickim. Wreszcie po długotrwałych dyskusjach los padł na wieś Mogile pod Krakowem, gdzie ponoć już trzy i pół tysiąca lat temu kwitło hutnictwo. Rzecz jasna, że nie ten drobny fakt zdecydował o lokalizacji, lecz kwestia dogodnego położenia, rezerwa siły roboczej w tym rejonie, bliskość AGH, stanowiącej zaplecze kadry inżynieryjno-technicznej dla kombinatu (AGH w ogóle w najbliższym czasie przenosi się całkiem do Nowej Huty), no i oczywiście względy komunistyczne. Brano również pod uwagę Wisłę jako wygodny i tani środek komunikacji wodnej. Wybudowano przebieg w Nowej Hucie nawet port rzeczny, niestety zupełnie do tej pory nie wykorzystany. Ale 20 lat temu sądzono, że Wisła szybciej zostanie uregulowana. Towarzystwo budowe wielki optymizm i wielkie zaangażowanie, nie uszczępliło więc pomyłek, ale myślę, że bez tego entuzjaz-

mu nie byłoby Nowej Huty. W końcu nie ma takiej rzeczy, której by nie można było zrobić lepiej. Nawet bogata literatura, która powstała na kanwie ogromnego wysiłku, jaki towarzyszył tej budowie, mogłaby być też lepsza. Trudność polega na tym, że to czego dokonali tysiące ludzi w ciągu dwóch dziesięcioleci, jeden człowiek swą wyobraźnią objąć nie jest w stanie. Najlepsze pióra teple się na tym wielkim temacie. Wyrażono o Nowej Hucie tyle zachwytu, że z biegiem czasu zaczęła się ona bardziej kojarzyć z produkcją lakierów niż stali. Tymczasem przedświecicie było olbrzymie, piętrowe się wiele trudności z zakwaterowaniem i wyżywieniem tysięcy ludzi, wśród których skautów się raczej nie spotykało. Podstawowym narzędziem była na razie łopata. Zaciąg odbywał się z wielkim szumem tak, że obok galicyjskich rzetelnych i pracowitych chłopów, pojawiło się na placu budowy sporo młodzieńców żąd-

my rodzinne. Ponad 150.000 ludzi posiada własne mieszkania. I mężowie nie muszą się skradać wieczorami do żon, chyba, że do cudzych. Zewnętrzne życie Nowej Huty na ulicach i placach jest spokojne, ciche i wyludnione. Milicja nie notuje tu więcej awantur niż gdzie indziej. Domy, rodzinny awantur jest może trochę więcej, dają bowiem znać o sobie skutki szybkostrzelnych małżeństw, zawieranych w gorączkowym okresie. Poza tym wszystko w normie.

Niewątpliwie można by wymienić wiele ciekawostek socjologicznych, choćby restauracje, które świecą pustkami, tudzież kina niezbyt obtegame przez publiczność. Tutejsi mieszkańcy nie znają smory kolejek przed sklepami. Na lekarstwo nie znajdzie tu również kobiety chętnej do pracy w charakterze pomocy domowej. Chorobą społeczną jest w Nowej Hucie choroba żołądka — pozostałość kawalerskiego trybu życia większości mieszkańców. Rytm życia w mieście wyznacza rytm pracy w hucie. Bardzo rozpowszechnione jest wieszanie bielizny na balkonach. Nowoczesne bloki obwieszane gaciami nie sprawiają może zbyt przyjemnego wrażenia, ale wyglądają swojsko. Panuje tu bardzo ładny lokalny snobizm. Jest nim chodzenie do „naszego” Teatru Ludowego. Nie jest to oczywiście snobizm zbyt masowy. Potrzeby kulturalne zaspokaja w pełni telewizja, potrzeby towarzyskie — parę świetlic, klub NOT-u i Dom Kultury Budowlanych. Ten ostatni nie jest luksusowy, mieści się w baraku. W planach jest budowa Domu Młodości. Dla spokoju potrzeb religijnych buduje się kościół. W podziemiach świątyni zaprojektowano kawiarnię i klub parafialny. Na ukończeniu znajduje się budowa hali sportowej „Hutnik”. W dniu naszej wizyty wrzała tam praca. Jeszcze nigdy nie widziałem na raz tylu ludzi na jednej budowie. Cóż, Kraków umie urządzać pogrzeby. Nowa Huta znów coś innego.

Zwiedziliśmy stołówkę, w której wydaje się dziesięć tysięcy posiłków dziennie. Stołówka-gigant, jak wszystko w Nowej Hucie. Śniadanie kosztuje tu 4,50 zł, obiad — 6 złotych. Jak widać wszystko tu gigantyczne prócz cen. Kierowniczką stołówki jest młoda dziewczyna, która pewnego dnia przyjechała tu z podkrakowskiej wioski i zaczynała od skrobania ziemniaków w kuchni. Bardzo typowy i charakterystyczny awans. Na kierowniczych stanowiskach spotyka się sporo osób, które zaczynały albo od wymachiwania łopata, albo od skrobania ziemniaków. Zyciorysy tutejszych dyrektorów brzmią jak z czytanek szkolnych. Wielu wśród nich ludzi, którzy byli żołnierzami na Zachodzie. W latach pięćdziesiątych niełatwo mogli znaleźć pracę w kraju, jechali do Nowej Huty, tam kadrowcy byli łagodniejsi. Wśród pierwszych budowniczych nawet Cyganów się spotykało. Jeden z nich, przodownik pracy, otrzymał pewnego razu wysokie odznaczenie. W imieniu odznaczonych miał na uroczystej akademii wygłosić „spicz” dziękczynny. W oznaczonym dniu nie zjawił się jednak na uroczystości, więc zdenerwowani organizatorzy zaczęli go szukać. Wiadomo, gdzie. W knajpach. Wreszcie gdzieś go do padli, oderwali od biesiady i podchmielnego przyprowadzili na salę. Cygan się opierał, w końcu dał za wywerana, wszedł na trybunę i rzekł: „Za krótkie jest życie Cyvana, żeby Cygan musiał pracować”. Z zaszczytnym orderem poszedł w Polskę i tyle go widzieli.

Dziś to wszystko prehistoria. Hotele robotnicze prawie w zaniku, a te nieliczne, które pozostały, przypominają zwykle do-

Dalszy ciąg na str. 8

KONRAD FREJDLICH

Niemcy

gotyckie

renesansowe

klasyczne

Eva Danneman z Komisji Zagranicznej Związku Pisarzy dotrzymata słowa: na podwórko bloku apartamentowego, w którym mieszkałem, wjechała taksówka, jas

na „Wolga” z poczdamską rejestracją. Jej kierowca w pierwszej chwili sprawia wrażenie poczciwca — jest grzeczny, choć nie nadgorliwy, uważny, choć nie nadskakujący.

Marszrutę ułożyliśmy w Związku Pisarzy: Turyngia. Po drodze jest wszakże Magdeburg.

— A więc Magdeburg — decyduję, rozkładając na kolana mapę.

Taksówkarz uważa, że powinniśmy pojechać przez Dessau.

— A co? Droga niedobra?

— pytam.

— Nie, ale zawsze jeździłem przez Dessau.

— To teraz przez Magdeburg.

W średniowieczu Magdeburg słynął jako dawca praw dla miast, a także jako twierdza. Ale z dawnego miasta nie pozostało po ostatniej wojnie nic prócz gotyckiej katedry — nie widziałem nigdy doskonalszej w swoim surowym, majestatycznym pięknie. Jest zresztą niezbyt niemiecka, wyraża wpływ francuskiego gotyku: Paryż, Lion, Chartres, Soissons. To przemawia,

choćby do snobizmu, gdy wyobraźnia milczy.

Główna nawa zdaje się przedłużeniem autostrady. Uczucie pędu i wciąż nowe widoki, do zawrotu głowy.

„Opis wina jest trudniejszy niż opis katedry” — przypominam sobie zdanie Zbigniewa Herberta, który chciał nim oddać nastrój Orwieto.

Słusznie, wino poznaje się nie przez opis, tylko przez jego działanie. Ale oddziaływanie wnętrza katedry jest jeszcze bardziej złożone: chłód głębiny, przezrocystość źródlanej wody. I cóż na dodatek począć z zapachami kamieni? Wiemy przecież, że kamienie nie pachną, ale wejście do katedry zaprzecza doświadczeniu.

Gotyk magdeburki sprzeciwia się zresztą wszelkim wyobrażeniom potocznym o charakterze tego stylu. Niby wszystko w porządku: rozety, ostrołuki i gwiaździste sklepienia zebrowe. Ale w tym wszystkim jest coś renesansowego, w nastroju raczej niż w konstrukcji.

Choćby jeden z portali na zwany Rajska Brama, którą wypełniają posągi dziewcząt. Układ szat wyraźnie

gotycki, nie dziwnego, posągi są z trzynastego wieku. Ale ezy to dziewczęta nie pokazują nam zbyt wiele ciała? Jak na średniowiecze pogrążone w ascezie, posągi są właściwie bezwstydne. Czy się przynajmniej modlą? Wprost przeciwnie, czekają właśnie na kochanków, na których czesie trzymają w dłoniach płonące oliwne lampki, zalegoryzowany zapach miłosny. Wprawdzie nie wszystkie, tylko pięć dziewcząt w lewej wnęce bramy, te są uśmiechnięte. To dziewczęta mądre. Pięć innych w przeciwnie lewej wnęce ma zbolale twarze, ich lampki nie płoną, zapomniały oliwy. To dziewczęta głupie.

Albo ten rycerz śpiący snem wiecznym na płycie kamiennego sarkofagu, który końcem woteczki taskoczne w pięć karzełka o rozradowanej twarzy. Czy to nie alegoria wiecznego uśmiechu?

Wchodzę na dziedziniec rozświetlony słońcem. Na bocznej ścianie epitafium kamiennie niemieckich feudałów i mieszczan. Właściwie nie epitafium — to są kodeksy pychy fundatorów przelicy-

towujących się w cnotach: pobożny, szczodry, waleczny, wielmożny. Ale to już nie gotyk, to wieki późniejsze.

— Podobają się? — pyta kierowca.

Wciąż uważa, że powinniśmy raczej pojechać przez Dessau. Co mu powiedzieli?

— A teraz do Halle — po wiedziałem.

Halle jest miastem Haendla, na rynku pomnik kompozytora, przedstawiający mężczyznę z podwójnym podbródkiem, cokoł przyzdo biony brzydkim metalowym wieńcem. Równie dobrze mógłby to być monument kupca albo urzędnika, ale jak zakuc w spizu neogarniony świat muzyki? Bryła jest formą ograniczoną w przestrzeni, symfonia tylko w czasie.

Uliczki Halle wąskie i splecione zdają się coś obiecywać, wprowadzają mnie nieoczekiwanie pod późnogotycki zamek, Moritzburg. Osuszone fosy zamiast wynosić budowlę, stwarzają optyczne kłamstwo, które sprawia, że zamek wygląda jakby się miał za chwilę zapadnąć pod ziemię. To trzeba sprawdzić: idę schodami w dół.

Mroczone korytarze ledwie rozświetlają elektryczne lampy, w powietrzu czai się coś niewiadomego.

Pomyślałem, że to popis seanserów, grube mury lagodzą wrzaskiwość big-bitu. Ale za zakretem wiedziałem już co to za muzyka. Drogę do Piwnic Zamku Moritzburg wskazywały strzałki, choć pojeżdżanie gitar elektrycznych poprowadziło mnie pędem.

I nagle w sali położonej najniżej zobaczyłem rój czerwonych ogników, zamie rających i rozblyskujących na nowo. Tylko w szatni palita się zwykła elektryczna żarówka.

— Nie ma miejsc — powiedziała szatniarka. — Trzeba zamawiać tydzień wcześniej.

Marion spojrzała na mnie: wracam. Ale ja zażądałem rozmowy z szetem lokalu.

— To nie nie pomoże — powiedziała Marion — może mi par wierzyc.

Ale pomogło. Wstawiają nam stół, zapalają na nim pękata, czerwona świeca w formie barytki. Mimo to nie chce mi się sidiac, podchodzę do baru.

Dziedzictwo

Wszystkie wiejskie cmentarze, jakie widziałam, leżały najczęściej przy drogach, trochę na uboczu, z dala od ludzkich siedzib. A ten cmentarz jest w lesie. Kilkadziesiąt metrów od szosy, łączącej Przysuchę z Szydłowcem, tuż przed jej rozgałęzieniem w kierunku Stefankowa. Las z trzech stron otacza cmentarny mur wysokimi drzewami. Może dlatego i mur wydaje się niski i cmentarz niewielki, choć leżą tu zwłoki dwustu piętnastu mężczyzn. Daty urodzenia są różne. Data śmierci ta sama — 11 kwietnia 1940 roku.

Na cmentarzu jest cicho i sennie, tak jak w lesie w październikowy wilgotny od rosy dzień. Na grobach nie ma jeszcze zielonej jędriny, ani białych chryzantem, kwitnie za to trochę wypłowiłych astrów i nagietek. A na grobie Michała i Jana Szlukików rosną trzy kępy wysokich, fioletowych marcinków.

1.

„Powietrze było czerwone od słońca co zachodziło krwawo na wiatr. Najczerniej było pod lasem, gdzie na dużych, polnych kamieniach stały trzy trumny. Jakies ogromne, otwarte. W jednej leżało mnóstwo kwiatów, druga była pusta. A w trzeciej leżał mój mąż. Potem trumny gdzieś znikły i ja tylko zostałam na polu. Patrzę, a z tyłu Niemcy lecą do mnie, coś krzyczą, strzelają. To ja uciekać zaczęłam do chałupy mojej teściowej...”

— Obudziliśmy się i już potem nie mogłam spać. Usiadłam w oknie. Przyszedł do nas ktoś z kopalni. Samochody — mówi — jadą szosą. Światła widać, a potem gasną. Tak jakby skręcili w drogę przez las. A już w dzień Sadowski, mój sąsiad, przyjechał z miastą i mówił, że w lesie Żydzi kopali dół.

— Koło wsi była kopalnia rudy. Jeszcze sprzed wojny. Niemcy ją uruchomili i chłopcy od nas tam pracowali — mówi Szlukikowa. — To ich zgubiło. Jak dowiedzieli się, że Niemcy otaczają wieś, to spojnie szli do domu. Przepustki mieli. I żeby nie te przepustki, pół ludzi by się uratowało. Pewni siebie byli. Mój brat powiedział: Jak Michał (mój mąż) po szedł — to i ja pójdę. I tak jedenastu ich z mojej rodziny. chłop w chłopa, w ziemi leży.

— Wcześniej już coś się działo we wsi. Dwóch obcych przyszło z Chlewisk i wypytawali w sklepie o partyzantów. Ale nie się nie dowiedzieli. Nam tam chłopiny nasze nie chciały powiedzieć. Wiadomo, baba włos ma długi, a rozum krótki. Ale i tak żeśmy wiedziały, że wzięli tych dwóch do leśniczówki i potem rozstrzelali.

— W lesie był jakiś oddział naszych. I szukali ich Niemcy. Przyjechali samochodami, a oficerów wzięli w taksówkach. Z sześć albo osiem ich było. I jechali tak pod las, przez gołe pole. Widać ich było, no i par tyzanci z lasu zaczęli do nich strzelać. Jak tmi tak sówkami nazad ich wzięli, to krew aż się lala po szosie. Partyzanci poranili jakiegoś generała, co potem w Chlewiskach w pałacu leżał. Chciał się zemścić na wsi, kazał najpierw wyciąć wszystkich do kolebki. Tylko, że żona, a może narzeczona to była, co do nie go przyjechała, wyprosiła, żeby kobiet i dzieci nie ruszać. I tak my zostaliśmy.

2.

W notatniku pod data 16 maja 1940 roku Hans Frank pisze: „Mnóstwo oznak i wypadków wskazuje na to, że w kraju istnieje wielki, zorganizowany ruch oporu... Tysiące Polaków w tajnych związkach jest uzbrojonych i gotowych popełnić akt terroru wszelkiego rodzaju w najbardziej buntowniczej formie...”. Gubernator przytacza następnie „kilka przykładów z ostatniego czasu, jak podobne do wojen domowych powstania kilku wsi okolicy radomskiej, wymordowanie rodzin volksdeutsche w Józefowie, zamordo-

wanie leśniczego Hana, burmistrza w Grasińcu”. Gubernator polecił krwawo stłumić te próby.

Frank pisał to w przeszło miesiąc po tragedii, jaka spotkała kielecką wieś Skłoby. W doszczetnie spalonej wsi zostały tylko kobiety, dzieci i starcy. Rodziny tych dwustu piętnastu, nad którymi zwarzy się w le sie sosny.

Był to bestialski, krwawy odwet Niemców za przegrana walkę z majorem Hubalem. 30 marca pod Hubaliskami 80 hubalczyków starło się z 1500 żołnierzami niemieckimi. Potem policzono zabitych. Sześciu Polaków, sześćdziesięciu ośmiu Niemców, nie licząc wielu rannych.

Po bitwie Hubal posłał swoich trzech ku Skłobom. „Przyłożył się wierzchołkiem brzuchem na ziemi — przegalopował Roman Skłoby z pistoletem w garści. Mignęły płoty, garnki na kółkach wbitych w ścianę, zatrzaśnięte okna, rozwarłe wrośnie. Wymarła stoi wieś Skłobów, wykopalisko jakieś, ni to Biskupin nowy, który zostanie pokoleciem tej wojnie na znak”.

Te Skłoby z „Hubalczyków” Wańkowicza jeszcze istniały. Plan eksterminacji miał być wykonany w jedenaście dni później.

3.

Las opada zboczem ku Skłobom, które dwoma długimi rzędami domów przywarły w dole. Domy, może nie według najnowszych wzorów wiejskiej, jednakowej dla całej Polski architektury, ale widać solidne, gospodarskie. Na początku wsi nowa szkoła. Bez py tania wiadomo, bo napis wielki na szczycie budynku, że to dar dla wsi od żołnierzy WOP. W szkole pusto. Klasy szeroko otwarte, uchylone drzwi w pokoju kie rownika. Widać, że nie spodziewają się tu nikogo obcego. Nagle strzały wyjaśniają od razu te podejrza ną pustkę. Jasne, film. Pod salą gimnastyczną, skąd słychać strzelaninę stoi mały chłopak.

— Wyrzucili cię?

— Nie.

— A co?

— Pan nie wpuścił — mamrocze niewyraźnie mały.

— Dlaczego?

— Bo nie mam pieniędzy.

Rozmowny to ten pierwszy spotkany mieszkaniec wsi Skłoby nie był. Wreszcie wdusiłam z niego, że ma na imię Franek, że chodzi do trzeciej klasy, że film kosztuje pięć złotych i że w domu mu nie dali. Jaki to film — nie wiedział.

Dopiero od kierownika Stanisława Pietrasa dowiedziałam się, że to „Barwy walki”. Rozmowa zesłała od razu na pamiętną Wielkanoc z 1940 roku. Kierownik, choć sam z tej wsi nie pochodzi, zna tę historię nie gorzej od naocznych świadków.

— Wcześniej zaczęło się w Stefankowie. W dniu boju z Hubalem. 30 marca, że Stefankowa Niemcy wy wzięli 72 mężczyzn i 9 kwietnia wymordowali ich na Firleju koło Radomia. Obława w Skłobach rozpoczę ła się w nocy, ale Niemcy mieli rozkaz, żeby strzelać dopiero o świcie. Dlatego że trzydziestu mężczyznom udało się z obławy uciec. Zresztą wówczas jeszcze nie znano hitlerowskich metod. Można powiedzieć, że wypróbowali je na tutejszych wsiach. Toteż mężczyź ni sądzili, że wiozą ich na roboty. Niemcy zabrali ich do szkoły w Chlewiskach. Starszych, po sześćdzie sieciu latach, zwolnili, i także chłopców do trzynastu lat. Jakiś Niemiec ze Śląska podchodził do starszych, mniej wyróżnionych członków i kazał im mówić, że mają po trzynaście lat. Którego go posłuchał — ocalał. A te resztki, po dziesięciu wzięli do lasu. Z pierwszej dziesiątki czterem udało się uciec. Dwo — Pie tras i Gluch — jeszcze żyje.

— Pierwszych zaczęli zabić głębiej w lesie, gdzie były gęste zarośla. Gluch miał na sobie zimowe pal to. Zrzucił je nagle z siebie i eskortujący go z tyłu Niemiec, zdołał złapać tylko płaszcz. Gluch i inni zaczęli uciekać prosto na Niemców, czekających nad wy kopanymi dołami. Ani ci co prowadzili Polaków, ani ci co czekali w pierwszej chwili nie mogli strzelać, bo bali się o siebie. I dlatego tej czwórce się udało.

Następna dziesiątka już związała razem. Inny od dział w tym czasie palił wieś. Dwieście osiemdziesiąt domów.

4.

— Nawet jak się ich odkopywało to byli związani. Ręka do ręki... — Julianna Szlukikowa zamilkła. Zobaczyła, że patrzę na grupowe zdjęcie kobiet, wiszące pod ślubnym portretem.

— To z przyjęcia u Moczara. Powiedział wtedy, że byśmy sobie odpoczywały. Ale przecież to wieś. I czo wiek sam musi wszystkiego dopilnować. Wymartwić

się. Rentę najpierw nie wszystkim kobietom przyznali. Sama gardłowałam i w Łodzi i w Warszawie, chociaż mnie akurat rentę dali. Szwalnie nam we wsi założyli. Prawda jest wygodna, ale to dla młodszych kobiet. Trzysta ich z wioski i okolicy tam pracuje. Ale gdzie tam moje oczy do maszyny. A roboty i tak aż za dużo. Człowiek się przecież musi podciągać do ludzi, bo jak bieda, to się śmieją. Podłogi muszą teraz malować. Ściany już umalowałam i w tym pokoju i w drugim. Sama.

— I co, źle? — pyta i wie, że muszę pochwalić, bo i kolory ładne i walek wyjątkowo równo ciągnięty, i paski pod sufitem prościutkie. I wiem, ile ma lat.

— Dwadzieścia osiem miałam wtedy. Dziewięć lat z Michałem żyłam dwie córki nam się urodziły. Zostałam z dziećmi i w ciąży. Michał się urodził, jak oćiec już w ziemi leżał. Chałupy nie było. Spalili przecież całą wieś. Z obory zostały tylko kamienne ściany. Tośmy się tam wprowadzili. Latem jeszcze do szły dwie rodziny. Trochę mi meża brat z Rusinowa pomógł, trochę jego syn, co był w partyzantce. Zrobi li z żerdzi dach i przez trzy lata mieszkało się w oborze.

— Jak słucham czasem o górnikach, na Barburkę, jak ich odznaczają, chwała, to aż mi się płakać chce. Mój przecież też był górnikiem...

Szlukikowa zakreśliła się po izbie, machnęła ręką. — Widzi pani, ja gadam, a tam krowy nie ma kto z pola sprowadzić. Uśmiechnęła się i poszła.

* * *

Pamiętam ową chwilę, jak jeszcze byłam mała, jak Niemcy bili tatusia, jak lży lata mateńka.

Taka jest część wiedzy wnuków o przeszłości rodzinnej wsi. W nieudolnie rymowane strofy ułożona przez ich matki. I w Zadzuski, wnuki, obok czarno ubranych kobiet, swoich matek i babek, idą w procesji na oddalony o parę kilometrów leśny cmentarz.



— Etwas trinken — mówię do barmanki.

— Co podać? — Bardame jest w długiej, aż do kostek, czarnej sukni z koronki.

— Nachtgeister — Drink, bitte.

Sok pomarańczowy wymieszany z ginem. Przepijam do sąsiada, młody czo wiek rewanzuje mi się natchmiast. Nazywa się Michael Gawlik, urodzony w Katowicach w roku 1943. Matkę stracił w 1945 pod Oświęcimiem, w nalocie, pod czas ucieczki. Ojciec żyje gdzieś w NRF, nie utrzymu ją kontaktów.

Gawlik jest plastykiem i jak ja, miłośnikiem Bruegla. To nas zbliża. Prócz tego interesuje się polskim malarstwem, to nas także jednoczy.

Następnego dnia odwiedzam go w jego mieszkaniu na krańcach Halle. Przedstawiła żonę, na imię jej Demeter. Grecka emigrantka, w Niemczech od dwudziestu lat.

Teraz nie mnie już nie za trzymuje, możemy wyruszać do Weimaru. Przyjeżdżam tam pod wieczór, pada deszcz

i hotel „Elephant” wydaje się dużo starszy niż na fotografii w reklamowym prospekcie. Zresztą to rzeczywiście stary budynek. Przed laty zatrzymali się tu Mickiewicz z Odyńcem, gdy przyjechali odwiedzić Goethego.

Odbijam tę samą drogę, idę tymi samymi alejkami. Anna Mińska, która badała okoliczności wizyty polskich poetów u Goethego zapewnia mnie, że kroczymy dokładnie tą samą drogą. W słynnym parku nad Ilmem jacyś usmotruchani rzemieślnicy naprawiają mostek.

— Auslaender? — pyta mężczyzna z pią, ubrany w nieznośnie poplamiony kapełusz tyrolski. Widocznie lubi pogwarzyć sobie z cudzoziemcami, których latem jest tu chyba znacznie więcej niż weimarskich.

— W Polsce pan kiedy był? — pytam jednocześnie z panną Anną.

Kiwnięcie głową. — O tam — powiada — jest Gartenhaus.

Dom ogrodowy Goethego rozczarował mnie. Prawdy o pisarzach trzeba szukać w ich książkach, a nie w graciarni

sprzętów, które ich otaczały za życia. Słowa przemawiają silniej niż rekwizyty i mniej się starzeją.

W domu na Frauenplanie, który Goethe zajmował jako minister, spiętrzenie sprzętów przyprawia o zawrót głowy. Tylko raz z olejnego portretu pędzla Stieiera spojrzeli na mnie ciemne, zmęczone i jakby uciekające gdzieś na bok oczy poety. Prawda, jest jeszcze Seifengasse, uliczka wąziutka jak słomka, którą Goethe przekradł się do pani von Stein, obawiając się, żeby nie skompromitować przyja ciółki, spotykając przypadkowych znajomych. Ale w owych czasach pojęcie hono ru równe było tolerancji, a wieki późniejsze wynagrodzi ły kochance Goethego odwa gę, z jaką przyjmowała jego miłość. Grobowiec pani von Stein ufundowany przez weimarskich świadczy o tym, że Niemcy zaakcepto wali ten związek bez zbytnich skrupułów: legalna mał żonka, Vulpia, leży gdzieś na uboczu cmentarza w skromnej mogile. Ale Christianie Vulpius nie poświęcił Goethe ani jednego wiersza. O

pani von Stein napisał: „Ta miłość jest dla mnie jutrenką i gwiazdą wieczorną — zachodzi po słońcu i wschodzi na nowo przed słońcem”. I jeszcze: „Twój stosunek do mnie jest dla mnie święty i dziwny; czuję, że się nie da wypowiedzieć słowami. Ludzie nie mogliby tego zrozumieć”.

Weimaru też się zresztą nie da wypowiedzieć słowami. Wielkich nazwisk, należących do światowej kultury jest tu więcej (a Weimar jest niewielkim, prowincjonalnym miastem), niż w nie jednym kraju. Schiller, Liszt, Wieland, Nietzsche, Cranach, Bach, reprezentowane są wszystkie muzy. Ale to wszystko wieki wcześniejsze. W wieku XX Weimar zasty nął abażurami wyrabianymi z ludzkiej skóry w domu ko mendanta obozu buchenwaldzkiego. Do obozu (na grzbiecie niezbyt wielkiej wyniosłości Ettersberg) prowadzi droga przez las.

Z placu apelowego widać doskonale rozciągnięty w dole Weimar, połamane dachy domów, grupy drzew wypeł niających parki i ogrody. Z miasta widać kominy obozu.

Ten związek optyczny miał widocznie zrównoważyć dwie zupełnie odrębne niemieckie kultury. Z czasem księgi Goethego też pewnie poszły do pieca jak książki Heinego.

Nie, nigdy nie zrozumieć fenomenu Niemiec z okresu ostatniej wojny. Hitler faworyzował Weimar, mieszka ła tu jego matka, weimar czycy otrzymali więc w pre zencji Buchenwald. Blisko centrum miasta stoi ogromna konstrukcja: szkielec halli, w której Hitler zamierzał wygłosić triumfalne przemówienie po zwycięstwie. Konstrukcja ta niszczy, po szedłem obejrzeć ją w towarzystwie dwóch radzieckich lotników.

— Szkoda — powiedział jeden — można by to wykończyć i otworzyć tu cyrk.

— Albo fabrykę guzików — dodałem.

Z młodym poetą Wulfem Kirstem rozmawiałem tylko o poezji. Po Buchenwaldzie umiałem już mówić tylko o poezji. A później pojechałem do Eisenach zwiędzać dom urodzenia Bacha. „Tocciata i Fuga d-mol” to jeden

z najradośniejszych utworów, jakie znam, kustosz bachowskiego muzeum zagral jej fragment na jakiejs bardzo starej fisharmonii. Słuchałem patrząc na trzy instrumenty, których dotyka ły palce Bacha: na jego wio lonczelę, na jego skrzypce i na jego klawesyn.

W drodze powrotnej, na autostradzie nacułem sobie pod nosem finał IX symfonii Beethovena, hymn do ra dości ze słowami Schillera:

Freude, schoener
Goetterfunken,
Toechter, aus Elysium!
Wir betreten
feuertrunken,
Himmlische Dein
Heiligtum.

Mój taksówkarz odwrócił głowę.

— Ja, Bach ist wunderbar. — Tak, Bach jest cudowny — zgodziłem się.

Wracaliśmy do Weimaru.

W restauracji hotelowej Wulf Kirst pokazał mi wiersz swego przyjaciela. Był to wiersz o śmierci zamordowanego przez hitlerowców wybitnego polskiego pisarza, Brunona Schul tza.

Żył przed wojną (i żyje do dziś w dalekiej Australii), mój starszy kolega uniwersytecki, Władysław Pyrko, uparty gruzlik, anarchista, świetnie zapowiadający się pisarz, którego stopień zaawansowania na studiach nie był nikomu bliżej znany. Uniwersytet uważał za przedszkołę, wybitnych swych profesorów miał za tępych bęcwałów, na kolegów patrzył z pogardą i lekceważeniem.

Któregoś jesiennej, zimnej nocy, gdy wracał do Akademika, natknął się na skulonego pod schodami wiejskiego chłopaka. Przemycił go i nielegalnie zaistniał w swym studentckim pokoiku. Chłopiec ten, pastuch ze wsi rzeszowskiej, przyjechał na buforach do Warszawy z żarliwą, namiętną wolą nauki. Objął się — bezdomny — po Warszawie, nocując na dworcach i pod mostami. Kręcił się w okolicach Akademika z nadzieją, że któryś ze studentów wytoruje mu drogę do nauki. No i właśnie znalazł się taki — Władysław Pyrko. Chłopak ofiarował za opiekę i pomoc dożywotnią wierność, ślepe posłuszeństwo wobec dobrodziejcy i codzienne, ordynancje posługi. Wpatrzony był w swego pana — bo tak zawsze nazywał Władysława — jak w święty obraz. Grono studentów z różnych uczelni i wydziałów, zmobilizowane przez Pyrka, tłoczyło na zmianę w chłonną jak gąbka, otwarty lech chłopaka wszelaką wiedzę. Fenomenalne zdolności i pamięć, przy upartej, chłopięcej pracowitości sprawiły, że po kilku latach ów Kazio z Rzeszowszczyzny miał dyplom w kieszeni, czym zdystansował swego pana i, co okazało się rzeczą nieblabą, opanował kilka obcych języków w stopniu niemal doskonałym. Teraz Władysław Pyrko pozwalał się laskawie obsługiwać i utrzymywać przy życiu przez nowego, „dyplomowanego” ordynansa. Nie znałem ani z literatury, ani z życia, ani nawet z wyobraźni takiej wierności i lenności absolutnej, jaką darzył swego pana mgr Kazimierz.

Przyszedł wrzesień 39 r. Podporucznik rezerwy Władysław Pyrko z pół bitewnych zagarnięty został do oflagu.

Któregoś dnia odwiedził mnie w mieszkaniu na Grochowie ów Kazik. Fakt, że Władysław Pyrko, pan jego, z życzliwością tolerował moje istnienie, był dla Kazika dostatecznym powodem, aby i we mnie widzieć nieomylnego proroka, godnego szacunku — a w nieobecność pana — i posłuszeństwa.

— Mój pan jest w obozie jenieckim. Wysyłam do niego paczkę i listy. Raz tylko przysłał mi kartkę z jednym zdaniem, które umiem na pamięć: „Winięś znać swoją powinność”, to było wszystko. Nie było nawet pozdrowień i podpisu — dodał z żalem.

— Nie dziwcie się, kolego Kaziku; znalazł go przecież dobrze. To w jego stylu. Uczucia, wzruszenia, sentymenty zawsze dawał, nim się narodził. Niech się kolega tym i bardzo nie przejmuję.

— Tak. Ale cóż znaczy to zdanie? Pańską właśnie interpretację przyjmę bez zastrzeżeń i dyskusji, gdyż wiem, jakie stosunki łączyły pana z moim panem.

— Nie wiem, kolego. Przecież znalazł go chyba najlepiej. Umiałście odczytywać każdy jego gest i oddech.

— Chciałbym we wszystkim realizować jego wolę, naśladować go w miarę możliwości. Jeśli on walczył — a to jest chyba właśnie powinność najbardziej aktualna — to i ja chciałbym walczyć. Tylko gdzie i jak — rzekł bezradnie płaczącym niemal głosem.

— Cóż, kolego, są i tworzą się różne podziemne organizacje...

— Tak, ale jak dotąd nie mam do nich dostępu. Wszystko jest tak zaszyfrowane... słyszałem, że na Węgrzech tworzy się Legion Polski, czy pan coś o tym słyszał?

— Owszem, przedzierają się tam młodzi ludzie, są nawet już przez góry przetarte szlaki, sprawdzone, choć ryzykowne i nieco karikaturne trasy...

— Błagam pana na wszystko, odpląc to kiedyś panu stokrotnie, niech pan mi pomoże dostać się na Węgry!

— O bliższe informacje, trasę z przewodnikami... no... może bym się i wkrótce wystarał, ale poza tym w niczym nie mogę koledeczko być pomocnym. Widzicie, kolego, trasa długa i ciężka, przez śniegi, mróz. Trzeba by mieć buty narciarskie, narty, elegancki kożuszek, guziki z zaszytymi złotymi rublami, forse na przejazd do Krakowa, Zakopanego, Kolega nawet widzę bez paletka. Co tu dużo mówić. Trzeba mieć świetny ekwipunek i forse w kieszeni. Żandarmi najmniej czeplają się „złotej”, bawiącej się młodzieży. W tym zakresie nic koledeczko pomóc nie mo-

gę, bo jak widzicie u mnie też piszczy bida i mroz.

— Pan mnie jeszcze nie zna... Ja panu wszystko zwrócić wielokrotnie. Czy nie mógłby mi pan od kogoś, komu poświadczył cyrografem, pożyczyc trochę pieniędzy na ekwipunek?

Już miałem na końcu języka twarde odpowiedź „nie”, gdyż sam chętnie skorzystałbym w tym czasie z jakiegokolwiek pożyczki, gdy nagle rozświetlił mnie jakiś złośliwy chochlik; przypominałem sobie o istnieniu Antosia Owczarka.

— Kolego Kazimierzu, przyjdźcie do mnie za jakiś tydzień, może coś da się do tego czasu skombinować.

Świeżo upieczony inżynier Antos Owczarek był moim kolegą szkolnym. Jego młodość — przypominała trochę młodość Kazika. Był synem małego chłopca w nędznej, za-

dać za szlacheckie nazwisko. I pół majątku by oddał za tytuł hrabiowski. Ostatnio męczył mnie tu wieczorami, żeby mu wymyślił jakieś po szlachecku brzmiące nazwisko. Już ten problem sprowadzony jest do alternatywy: „Owczarewicz”, czy „Owczaszyc”. I wiesz, powiadam ci, Macieju — kończył Tadeusz pisząc ze śmiechu — że to ty, właśnie ty masz zdecydować o wyborze, jako polonistyczny autorytet w oczach Antosia.

A propos „Antos” — jakie to mu wydumane imię hrabiowskie?

— Ano, chyba Ryszard — rzekłem z uśmiechem — z tradycjami bo było już kiedyś jakieś łwie serce.

— Nie ludź się, Antos nie ma żadnych skojarzeń kulturowych, czy literackich, on wierzy na słowo honoru.

— Wpadnę tu do was niedługo, aby „autorytatywnie” orzec, jakie

ślicznie w polifony? Czytasz przecież te radia wasze gazetki, słuchasz radia zachodniego — co oni tam mówią? co się dzieje z wojną?

— Wiadomości są wręcz sensacyjne — ale zobowiązuję was do całkowitej tajemnicy, bo za to można posiedzieć na Sucha — rzekłem. — Otoż wczoraj słuchałem z tajnej radiostacji przemówienia samej pani marszałkowej Piłsudskiej. Jakoś się tam dogadala z rządem angielskim i postanowiono, że Jagódka Piłsudska ma wyjść za mąż za następcę tronu. W związku z tym, po wojnie, którą szkopy niechybnie przegrają, nastąpi przywrócenie monarchii w Polsce. Cały ustroj będzie zmieniony. Już teraz zapowiedziała pani Marszałkowa, wzywając wszystkich do walki z Hitlerem, że w przyszłej Polsce nie będą honorowane tytuły i szlachectwo na zasadzie „spadkobierczej”. Tytuły szlacheckie, hrabiowskie, czy książęce będą nadawane w zależności od zasług, położonych w walce z Niemcami. Szanse mają wszyscy. I tak: kto położy szczególne zasługi w walce z wrogiem, może otrzymać tytuł księcia, wszyscy, którzy bezpośrednio z bronią w ręku będą walczyć — mogą ubiegać się o tytuł hrabiowski a ci, którzy sami nie mogą walczyć z tych, czy innych powodów dopomoga finansowo innym, szczególnie jeśli chodzi o Legion Polski na Węgrzech, żeby się tam dostali — mogą otrzymać tytuł szlachecki a w szczególnych wypadkach tytuł barona lub markiza, jeśli będą mieli oczywiście pisemne poświadczenie przynajmniej od kilku wiarygodnych świadków.

Antosiowi rosły uszne radary z sekundy na sekundę. Słuchał z otwartą gębą, z której promieniował pobłask złotych zębów. Zyrawski pochylał głowę aż na kolana a plecami jego wstrząsnął szloch, czy może śmiech tłumiony?

— Maciuś, kochany, kochany — przerwał nerwowo Antos — jadę na Węgry, jak Boga kocham, jadę na Węgry, Po co mi te kombinacje i fałszerstwa. Muszę mi koniecznie ułatwić przedostanie się na Węgry do tego Legionu...

— Ależ Antos, nie tak nerwowo, nie tak szybko. Twój wyjazd na dia bla się zda, boś w wojsku nigdy nie był. Zresztą o wiele więcej możesz zrobić, jako fachowiec, tu, na miejscu, rozumiesz — sabotaż, produkcja bomb, czy inne jakieś historie z twojej dziedziny. A gdybyś jeszcze Romu stłansował wyjazd na Węgry, to przecież będą świadkowie: ja, Zyrawski, mój brat, facet. Sprawa tytułu markiza prawie że pewna.

— Nie, bracie kochany, jak jest szansa na hrabiowski, to ja z bronią w ręku, na Węgry, jak Boga kocham!

— Ale Antos, uspokój się, ja to wam mówię w tajemnicy o tajnej historii z tego radia, ale czort wie, czy to czasem nie zwykła propaganda. Wiesz jak to jest. Nie chcę zresztą brać ciebie na własne sumienie.

— Słuchaj, stary — odezwał się Zyrawski. — Ostatecznie Antos jest dorosły, jak chce, niech jedzie. Ty zastrzegłeś się, że nie bierziesz pełnej odpowiedzialności za prawdziwość informacji z tajnego radia, więc jesteś w porządku. Jeśli chce — niech jedzie. Chodzi o to, jaka trasa, kądędy, jak się wyszykować itp.

— O ile wiem, kilku czeka na rozkaz wyjazdu. Puszczają ich na trasę po dwóch. Wicie, jeden ubieczyca drugiego. Z Grenschutzem nie ma zabawy. Ślady na śniegu, tresowane psy i tak dalej.

— No, to skombinuj jakiegoś współtowarzysza dla naszego Antosia. Jak chce, niech jedzie — rzucił Tadeusz.

— Jesteście raz wam mówię, że to nie takie proste: tych kilku dlatego jeszcze nie wyruszyło — rzekłem mrugając do Tadeusza — że brak im pełnego ekwipunku i forsy. Zresztą nie wiem, czy który z nich chciałby akurat z Antosiem jechać. Oni się tam jakoś dobierają, trzeba znać język, ale najgorsze, to z tym ekwipunkiem. To blokuje całą sprawę.

— Kochany, kochany, wiesz przecież, język niemiecki znam dobrze. Biorę na siebie wszelkie koszty ekwipunku i podróży dla takiego, który ze mną będzie chciał iść. Możecie im to powiedzieć. Kochany, bracie, załatw mi tę sprawę!

— Wiesz co, Maciuś — wtrącił Tadeusz — jeśli Antos chce ryzykować na własną odpowiedzialność, to przyslij mu jakiegoś równego kumpła. Wyszukuj sobie pełny ekwipunek, Antos przecież forsy ma jak lodu, ustalać co i jak i niech idą.

— Chciałbym być szczerzy do końca. Wybac Antos, że tak mówię bez ogródek — ty masz jakieś cienne, przemysłowe handle z Niemcami. Mogą cię kapować, niech sprawa się

wyda, to wszyscy leżymy, rozumiesz?

— Kochany, najświętsze słowo honoru, że nikomu nigdy ani słowa. Z Niemcami tylko handluje, mają mnie za głupiego...

— I słusznie — przerwałem.

— Raz jeszcze daję ci słowo honoru...

— Szlacheckie słowo honoru?

— Szlacheckie — odrzekł Antos — i oczy mu się zaskrzyliły.

— No, to cześć! Za kilka dni przysię tu do was jednego. Jako hasło rozpoznawcze spyta się: „Czy tu mieszka hrabia Ryszard Owczaszyc?”

— Maciuś, kochany...

Antos i Kazio w trakcie przygotowań do drogi niemal zaprzyjaźnili się. Buty narciarskie, kożuski, czapki, ciężkie były od carskich, złotych rubli. Konspiracja nakazywała, że tylko jeden z uczestników wyprawy może znać szczegóły trasy, terminy, przesłanki, kwatery na trasie itp. Oczywiście tym wtajemniczonym był Kazio.

W wyznaczony dzień spotkali się w czworak na peronie Dworca Głównego. Rzekomy pociąg miał już wkrótce nadjechać. W pewnym momencie, co było między mną a Kazimierzem ustalono, Kazio rzekł:

— Poczekajcie — na chwilę ja tylko jeszcze skoczę po papierosy (Antos nie palił). Zaraz wracam.

Minęło pięć, dziesięć, dwanaście minut — Antos aż się spościł ze zdenerwowania. Kiedy i po kwadransie nie było nikogo — rzekłem:

— Wicie co to Kazio w tym czasie odjeżdżał właśnie z innego peronu) zaczynam się obawiać, że Kazio mogli zatrzymać żandarmi. Jak go nie będzie za pięć minut, musimy stąd przyskoczyć. Może być gorąco.

Już jakiś pociąg z naszego peronu odjechał — a Kazio wciąż nie ma. Po dalszych pięciu minutach sprawa stawała się jasna.

— Panowie, urwamy się po jedynemu na Marszałkowską. Teraz już nie ma żartów — rzekł Tadeusz, udając wyraźny strach. Jak Kazio zobaczył na dworcu, to zaraz do was wrócić. Jeśli nie wróć za trzy minuty — niech się urywa następny. I tak oto zakończył się wymarsz Antosia na Węgry. Została mu tylko nadzieja na tytuł barona...

Tymczasem Kazio brnął już przez osnieżone góry. Na trasie doczepili się do niego jacyś trzej uczniowie i ksiądz w cywilu. Żadne prośby i groźby, żeby się odczepili, nie dawały skutku. Zweszli, że musi mieć właściwą trasę. Oczywiście, idąc w takiej gromadzie, wpadli w ręce Grenschutzu. Odstawiono ich do Gestapo w Nowym Targu. Podczas śledztwa ksiądz i trzej uczniowie dawali naiwne odpowiedzi, że szli do cioci i zabłądzili w śniegach, że ksiądz szedł do chorego... Tłukł ich aż zatłukali na śmierć. Zeznania Kazia brniały całkiem inaczej:

— Dokąd szedłeś?

— Na Węgry.

— W jakim celu?

— Wstąpić do Legionu Polskiego.

— Czy wiesz, że Legion Polski wstępuje przeciw Wielkiej Rzeszy?

— Oczywiście.

— Co zrobilibyś, gdybyśmy cię teraz puścili?

— Szedłbym uparcie z powrotem na Węgry.

Śledztwo zakończone, Kazio umieszczono w celi więziennej. Po dwu dniach wszedł do celi gestapowiec z niemieckim lekarzem. Mimo, że Kazio tryskał zdrowiem, lekarz orzekł, że podejrzana choroba każe go przenieść do izolatki szpitalnej. Kazio umieszczono na parterze w pokoiku, skąd przez podwórze do okalającego plotu było zaledwie kilka metrów. W pokoiku łożko, stolik i... na stojakku... cywilny garnitur. Kazio odniósł wrażenie, że Gestapo zachęca go do ucieczki. Była to stara metoda likwidowania więźnia „w czasie ucieczki”. Kazio nie dał się na to nabrać. Ale po dalszych dwu dniach lekarz coraz wyraźniej dawał mu do zrozumienia, że winen skorzystać z okazji.

— Wam przydałoby się trochę ruchu i świeżego powietrza — rzekł lekarz, patrząc na uchylone okno.

— Wiem, panie doktorze, tylko że spacerujących spotykają często tragiczne przygody...

— Nie zawiesz. Wam trochę ruchu na pewno nie zaszkodzi. Najzdrowsze powietrze jest tu u nas o szóstej wieczorem. — I wyszedł.

Tego dnia o szóstej wieczorem Kazio zaryzykował. Przerzucił się z więziennego ubrania w cywilne, otworzył okno, wyskoczył, spokojnym krokiem podszedł do plotu, przeszedł go i ruszył przed siebie...

Minęło wiele czasu. Na drzwiach wejściowych do apartamentu Antosia widać przybita wizytówka: HRABIA RYSZARD OWCZASZYC. Zadzwoń...

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

Wyprawa na Węgry

głodzonej, piaszczystej wsi białostockiej. Wbrew woli rodziców przyjechał do miasta po naukę. Nedza nauczyła go pracy, zapobiegliwości i chorobliwego skąpstwa. Uczył się świętnie. Był zawsze celującym uczniem. Utrzymywał się z rozlicznych koropetycji, których udzielał nie tylko młodszym, ale również i starszym o klasę kolegom. Kosztem zdrowia, bezsennych nocy i głodówki uczył do matury na tyle grosza, że mógł wyruszyć do „Warszawy na studia politechniczne. I tu, pracując jako agent jednej z firm, ukończył w terminie studia z celującym wynikiem. Praca, nauka i studia ukierunkowane na technikę, tak bardzo pochłaniały mu czas, że kotujące się życie polityczne, społeczne, artystyczne, że świat najtańszych nawet rozrywek i przyjemności był całkowicie poza zasięgiem jego widzenia. I tak oto wyrósł świetny niewątpliwie, inżynier, którego wiedza o świecie zaważała się do faktu, że w Polsce milicji nie panuje „ten cały marszałek Piłsudski”. Pracowity, rzutki, uparty, żyjący nad wyraz oszczędnie, obliczał wieczorami swój pędzący portfel.

Przyszła wojna. Antos prawie nie zauważył istniejącej okupacji. Znajdąc dobrze język niemiecki, ponawiał cienne kontakty handlowe z Niemcami, kursującymi służbowo na trasie Warszawa — Berlin. I, gdy już siedział na milionowej górze złota, zapragnął zakosztować smaku nie znanego mu dotąd świata. Futra, dziesiątki garniturów, japońskie krawaty, paryskie kapelusze — i tak od lyczka do rzemyczka — rozrosła się w nim niezwalczona teknotę aby się dostać na „salony” i w kręgi nieistniejącej zresztą arystokracji. Kazał sobie wyrwać zdrowie pod słońcem przednie zęby aby móc błyskać w uśmiechu złotymi. Świetne oczy kaleczył binoklami ze złotym lufuszkami. Gabinetowe portrety w złocistych ramach zdobiły jego biurko i ściany. Na palcu nosił wielki sygnet, kupiony na czarnym rynku. Jedno nie dawało mu spokoju: nazwisko i imię. Takie zwykle, chłopskie, pospolite. Nawiał już kosztowne kontakty z podejrzanymi macherami, którzy obiecali mu załatwić zmianę nazwiska i opracować drzewo genealogiczne, owocujące rodowym sygnetem.

Antos Owczarek przyjął do swych apartamentów na sublokatora jednego z naszych wspólnych kolegów, który imponował mu rozległą wiedzą humanistyczną, znajomością form towarzyskich i ciętym dowcipem. Tadeusz Zyrawski — bo tak nazywał się Antosiowy sublokator — zaprosił mnie do siebie pod nieobecność Antosia. Plakałem ze śmiechu, słuchając niewiarygodnych anegdot z życia naszego milionera.

— Gotów by diabłu duszę zaprze-

brać Antosiowi imię i nazwisko. Mam nadzieję, że Antos postawi dobrą kolację.

I oto teraz, za podszeptem złośliwego chochlika, siedzę znow w apartamentach przy ulicy Marszałkowskiej w towarzystwie Antosia i Tadeusza, którego uprzednio wtajemniczyłem w swe plany, tyżące kolegi Kazimierza. Na razie rozstrzygamy spór na temat nazwiska.

— Stanowczo „opowiadają” się za „Owczaszycem”, to brzmi podobnie, jak pod czas, bardziej bliskie tytułu hrabiowskiego a nawet może i księcia, „Owczarewicz” może także brzmi nie najgorzej, ale ten sufix „owicz”, czy „owicz” bardziej traci spójność szlachty. Na temat imienia nie będziemy chyba toczyć dłuższych sporów. Antos ma zupełną rację, twierdząc, że „Antoni” kojarzy się z czymś wulgarnym, popolitym. W przekazach historii nie znalazłem, jak dotąd, aby imię „Antoni” było przypisanie do bardziej znacznego nazwiska rodowego. Podobnie i w literaturze. „Andrzej” — to już co innego — mieliśmy Morsztyna, Potockiego, nawet bodaj jeden z królów polskich nosił to imię.

— Czy nie uważasz, że imię „Ryszard” byłoby znacznie lepsze, przynajmniej w zestawieniu z „Owczaszycem” — wtrącił Tadeusz. Głośny rezyser Ordyński też miał na imię Ryszard. Chyba nie zaprzeczysz?

— Kochani, kochani, nie przedłużajcie już sprawy. Obaj doszłście do tych samych wniosków. Złotnik czeka na projekt herbu — może byście skombinowali jakiś rysunek z mieczem, czy strzemięmami — przynaglił Antos.

— Z herbem nie będzie takie proste. Antos, widzisz, tam są różne kruczki, na przykład jest dziewięć palek, jest siedem palek, jest pięć palek — wiesz, tak, jak gwiazdki na koniku. Te palki ściśle wiążą się z tytułem, czy to hrabiowski, czy barona, burszty i innych. Tu trzeba myśleć kompleksowo... Wiesz co, Antos — dodałem — znam takiego faceta, magistra Kazika, który umie grzebać w tych starych historiach i na tym się trochę zna. On mógłby ci skombinować jakiś herbik, projekt, ale wiesz, roboty przy tym dużo, szperania po herbarzach, po książkach — trzeba by mu za to solidnie zapłacić.

— Kochany, kochany nie chciałbym wtajemniczać w te sprawy ludzi... rozumiesz, szczególnie z inteligencji. Sprawa może się roznieść a jest przecież bardzo poufna.

Wycofałem się z tego toru bez dyskusji, tym bardziej, że pod stołem grąbił mnie nogą znacząco Zyrawski. Powiedział:

— Antos ma rację, sami to musimy skombinować. Ale póki ty jeszcze jesteś, a do godziny policyjnej niedaleko, powiedz no nam, co tam



Rzeźba afrykańska

JERZY WILMAŃSKI

Opowiadania Jana Huszczy

„Dlaczego o tym wszystkim napisałem? — zastanawia się Jan Huszcza na wstępie swego tomu opowiadań „Pan Gracjan i inni”. — „Przecież i dziś żywe jest mniemanie, że powinno się wspominać sprawy niezwykłe, ludzi wyjątkowych, spłaty okoliczności osobliwe. Moim zdaniem, nic bardziej fałszywego niż to mniemanie, jeśli występuje w kategoriach absolutyzujących, którego jedną z przyczyn jest właściwie pragnienie fikcji”.

Ma rację Jan Huszcza przedstawiając w swojej nowej książce właśnie ludzi zwyczajnych w ich tle środowiskowym i geograficz-

nym — ma rację, gdy twierdzi, że ostrzej widzi się wów czas czas miniony w stosunku do teraźniejszego gdy co raz więcej wiemy i umiemy gdy coraz mniej rozumiemy.

Jan Huszcza podjął się w swej nowej książce nielatego zadania. Opowiedzieć rzeczy proste, sprawy zwyczajne, losy ludzkie szare, codzienne — nasze wspólne. Opowiedzieć życie i czas przepływający przez palce, rozmowy i zdarzenia, które mogą być — którą są — udziałem każdego z nas. Bez upiększeń i tanich efektów.

Opowiadania Huszczy czytają się wolno — jest to proza

plynąca dostojną, piękną polszczyzną, pełną refleksji i wspomnień... Nie sposób „połykać” tej prozy — można ją smakować jak stare, dobre wino. Tak się złożyło, że lekturę tomu opowiadań Jana Huszczy rozpocząłem od końca, od opowieści „Lampa” — pięknej, poetyckiej historii o latach minionych, o tej maleńkiej Atlantydzie, która pielęgnuje w marzeniach każdy z nas. Dla Huszczy będzie to jakaś Druja. Dzisiaj czy Zadworze — dla innych Atlantydę inne mają imiona, ale wspólny jest ten ton refleksyjny, dojrzały smutek i dwuwiersz greckiego poety Kawafisa:

„Pół do pierwszej. Jak przeminął czas.

„Pół do pierwszej. Jak przeminęły lata”.

Te lata, które minęły i te które biegają, uchwycił Huszcza w swej prozie pięknej i zadumanej. Jakże wiele na kartach tej książki można odnaleźć! Nawet sprawy i rzeczy, które przeminęły — a może właśnie przede wszystkim sprawy i rzeczy, które przeminęły? I może to właśnie rodzi ten dojrzały smutek opowiadań Jana Huszczy? Piszę z uporem o smutku, choć przecież z kart tej książki emanuje — jakże często — niepowtarzalny humor. Jest on wszakże elementem integralnie zrośnię-

tym z tą prozą — tak jak w życiu wesołość sąsiaduje z zamyśleniem, farsa z tragifarsa.

Świetnie uchwycił to Huszcza, choćby w takich miniaturach nowelkach jak „Poeta” czy „Starzy młodzi ludzie”... Jak gdyby mimochodem, garścią oszczędnego, ka-wiarnianego dialogu czy ironicznego „ostatnim słowem oskarżonego” potrafił powie-dzieć tak wiele i tak prawdziwie o smutku naszych wesołych czasów. O potrzebie uczyć i pięknych wzmruszeń, o samotności i o tym, że w życiu tak jak w grze w remika nikt nie chce przegrać. I, że tylko to jedno jest jasne.

„Nie poczucie wyjątkowości, ale poczucie wspólnoty i podobieństwa jest ważne” — mówi Jan Huszcza w swoich opowiadaniach. To prawda wynikająca z tej książki. Niełatwe zadanie opowiedzenia rzeczy prostych, spraw zwyczajnych zaowocowało piękną prozą. Książką dobrą niosącą w sobie prawdy czasu bezpowrotnie minionego i czasu który biegnie — książką o ludziach i dla ludzi.

Ambitna, mądra proza Jana Huszczy bez trudu znajduje drogę do czytelnika.

Jan Huszcza: „Pan Gracjan i inni”, Wyd. Łódzkie 1970.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Nowy Śpiewnik narodowy

Tym mianem określił Lesław M. Bartelski w dziewiątym numerze „Widnokregów” z br. antologię pieśni i piosenek śpiewanych w okresie wojny i okupacji pt. „Nlech wiatr ją poniesie”, opracowaną przez Tadeusza Szewerę, aktywnego uczestnika ruchu oporu, członka redakcji konspiracyjnego „Odwetu” w l. 1943—1944. Po raz pierwszy po wojnie spotykamy się z tak obszerną edycją „zakazanych piosenek”, spośród których wiele było jeszcze zakazanych w nie tak dalekiej przeszłości i dlatego niewytłumaczalnym chyba jest brak niezwykle przejmującej i bardzo popularnej Harrisa „Piosenki o mojej Warszawie” czy też „Marsza II Korpusu”. Są to jedynie drobne mankamenty tej antologii, której zakres tematyczny ma charakter wręcz uniwersalny

— od piosenki żołnierskiej i partyzanckiej poprzez ballady podwórkowo-uliczne do kołęd wojennych i pieśni jenieckich. Sam autor przyznaje zresztą, że nie sposób było pomieścić w jednym pokaznym tomie wszystkich dostępnych mu tekstów i nut. „Nlech wiatr ją poniesie” jest więc jedynie obszernym wyborem, możliwie reprezentatywnym i jednocześnie rzetelną próbą (wprawdzie już nie pierwszą) historycznego naświetlenia okoliczności, w jakich powstały poszczególne piosenki. „Gdyby już dzisiaj dysponowało się pełną wiedzą o genezie tych pieśni, gdyby zebrać wszystkie pieśni bezimiennych, przytoczyć przy tym dzieje poszczególnych oddziałów i ugrupowań, powstałoby dzieło nie mniej szej wagi od nieocenionych dla kultury polskiej zbiorów Oskara

Kolberga” — pisze Szewera. Słowem tym, wydaje mi się, można w pełni zaufać po wstępnej orientacji w temacie przy lekturze „Nlech wiatr ją poniesie”.

Ów przeszło sześćsetstronicowy tom ułożony jest tematycznie, składa się z sześciu części, przy czym każda z nich poprzedzona jest obszernym wstępem i opatrzona uzupełniającymi przypisami, nazwiskami faktami, wydarzeniami i nazwiskami. Pierwszą część zawiera piosenki z 1939 r. i z obobów jenieców wojennych, druga piosenki uliczne (rodowodem swym tkwiące najczęściej w warszawskim folklorze) i kołędy, trzecia, najszersze prezentowana w antologii, piosenki partyzanckie, czwarta konspiracyjne i powstańcze oraz ostatnia, zatytułowana „Spozą gór i rzek” piosenki żołnierskie z różnych frontów. Oprócz tego autor dołączył solidną bibliografię oraz indeksy. Jakość interpretacji, badań i dociekań oraz relacji z losów tych piosenek wskazuje na profil naukowy tej pozycji, wcale przy tym nie obniżając jej literackich walorów. „Nlech wiatr ją poniesie” jest szczęśliwym połączeniem warsztatu historyka z umiejętnością literackimi.

Książka Szewery stanowi pełne poświęcenie tego, że od samych początków zmagania narodu polskiego z hitlerowskim okupantem pa-

triotycznej walce towarzyszył śpiew. Nie mam zamiaru na tym miejscu rozpisywać się, jaką rolę spełniają pieśni i piosenki o tendencjach patriotycznych w czasach zagrożenia i podważania podstaw egzystencji danego narodu. Jest to rzeczą tak oczywistą i zarazem złożoną, że nie sposób stanów emocjonalnych z przeszłości przenieść na język zobiektywizowany. Trudno jest pisać historię uczuć ludzkich. Bardziej można ją czuć aniżeli transponować na teren rationis. Stąd omawiana antologia jest obrazem przeżyć naszego narodu, jest ilustracją żołnierskiego trudu i codziennego życia, ludności cywilnej pod okupacją. Jest to historia, która potrafi wzruszać. Wartość historyczna piosenek tamtych lat będzie zapewne niska, jeżeli spojrzymy na nie z pozycji wyłącznie naukowych. Mogą one być przy tego rodzaju podejściu jedynie literackim uzupełnieniem wydarzeń i sytuacji. A przecież to wyszło mało, to wcale nas nie satysfakcjonuje. Niejednokrotnie banalna treść piosenek okazywała się niezwykle sugestywna, uczuciowa. Siła emocjonalna tych „śpiewanych wierszy i rymów” tkwiła w tym, że często-kroć stosowane w nich wielkie, patetyczne słowa miały swoje realne i autentyczne źródło. Piosenka lat wojny i okupacji powstawała

najczęściej jako wynik bezpośrednich reakcji uczuciowych, jako spontaniczny gest i dlatego wyzbyta wszelkiego literackiego retuszu stwarza specyficzną atmosferę emocjonalną.

Historycy mogą czynić pewne zastrzeżenia do tła historycznego naszkicowanego w partiach wstępnych do poszczególnych rozdziałów, zwłaszcza do tego, że autor gloryfikuje działalność konspiracyjną niektórych, mało liczebnych i niezbyt skutecznie działających oddziałów partyzanckich kosztem innych. Zaważyły na tym zapewne osobiste sympatie Szewery jeszcze z czasów okupacji i dlatego trzeba wziąć tu poprawkę na subiektywne inspiracje. Cenić trzeba autora antologii „Nlech wiatr ją poniesie” za wieloletni trud i wytrwałość w opracowywaniu tego dzieła, za to, że zaprezentował swoją i zarazem innych znanych i anonimowych autorów książką żywą, pogłówną lekcją patriotyzmu o pięknych lirycznych tonacjach. Dziesięcioty-sięcny nakład tego imponującego zbioru szybko znikną z półek księgarskich i miejmy nadzieję, że osiągnie cel, jaki postawił sobie Tadeusz Szewera.

*) Tadeusz Szewera, „Nlech wiatr ją poniesie”. Opracowanie muzyczne Olgierd Straszynski. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1970, s. 613.

Przeszłość i teraźniejszość

Pisałem niegdyś na tym miejscu o kłopotach naszych historycznych badań nad dziejami klasy robotniczej, pisałem o trudnościach jakie napotykamy przy próbach delimitacji tej klasy w materiale źródłowym, zwłaszcza na jej stykach z różnymi warstwami i grupami pośrednimi. Z podobnymi trudnościami historyk spotyka się zresztą nie tylko przy tej okazji: procesy społeczne, które prowadzą do destrukuralizacji dawnych klas i warstw i powstawania nowych są szczególnie trudne do badania zwłaszcza, że język źródeł nie nadązał zwykle za przemianami społecznymi. Badając na przykład problematykę dziejów inteligencji polskiej w dobie kapitalizmu zastanawiam się nad czymś, co można by dość schematycznie określić jako pochodzenie społeczne uczonych polskich, zwłaszcza zaś historyków, w drugiej połowie XIX wieku. Tradycyjne, ale wciąż używane przez współczesnych pojęcia, takie jak „szlachcic” czy „mieszczanin” okazują się zawodne. Bo jakże mo-

żna zaliczać do jednej grupy społecznej skromnego nauczyciela z prowincji, ojca historyka Juliana Bartoszewicza i zamożnego właściciela ziemskiego, ojca historyka Aleksandra Rembowskiiego? Cóż nam przyjdzie z łączenia w jedną grupę niewątpliwego mieszczaństwa z pochodzenia Justyna Gajslera, historyka, który zarabiał na chleb jako telegrafista na poczcie z także niewątpliwym mieszczańskim — bankierem Janem Gollibem Blochem, również parającym się historią? Kryterium „herbowe”, do którego uśpiłczesni przywiązywali jeszcze spore znaczenie, jest tu anachronizmem, który zamazuje, nie zaś rozjaśnia interesujące historyka procesy społeczne.

Elżbieta Kaczyńska, która wydała właśnie niewielką książkę pt. „Dzieje robotników przemysłowych w Polsce pod zaborami” (PWN, 1970) zwraca uwagę na inne jeszcze trudności, przed jakimi staje badacz dziejów klas społecznych, zaś klasy robotniczej w szczególności. Jak gdyby usprawiedliwiają

się z tego, że odważa się opublikować próbną syntezę zaim cały ten obszerny zakres problematyki historycznej zo stał przeorany przez badania monograficzne, autorka zwróciła uwagę na trudności natury źródłowej. To prawda, że źródła które „mogą nas informować o klasie robotniczej są liczne, ale są nie tylko rozproszone, lecz często wrywkowe, pośrednie, wymagające wieloletniej pra-

których aspektów naszej historii. Tymczasem nie brak zainteresowania jest powodem białych plam w wiedzy historycznej, ale rzetelność badacza, który nie może zdecydować się na czepianie wiadomości z przekazów źródłowych o wątpliwej wartości poznawczej”.

Pokłóciłbym się trochę z tym ostatnim zdaniem: jest ono prawdziwe, ale jednocześnie i nieprawdziwe. Ow-

Jeszcze o historii klasy robotniczej

cy. Spora liczba danych statystycznych nie zawsze nadaje się do bezpośredniego wykorzystania ze względu na ich problematyczną często wiarygodność i zbytnią fragmentaryczność. „Niehistorycy” rzadko zdają sobie sprawę z problemów krytyki źródeł i rezultatów, jakie ta krytyka daje i zysmają się na brak opracowań nie-

szem, chętnie zgodzę się z tym, że niehistorycy mają często zawyżone wymagania w stosunku do historyków. bowiem nie w pełni uświada mniają sobie całą warsztatową stronę badania historycznego. Ale z tego bynajmniej nie wynika, aby wszystkie — jakże liczne i dotkliwe „białe plamy” naszej wiedzy historycznej — były rezul-

tatem... rzetelności badawczej historyków! Toż to podobne złudzenie profesjonalisty, ale złudzenie tylko! Historyk najczęściej nie zwraca uwagi na pewne stro ny procesu dziejowego wów czas, kiedy nie uważa ich za ważne, kiedy nie mieszczą się one w jego badawczym horyzoncie. Tak postępował Kraszewski, który wydając drukiem pewien pamiętnik, po prostu opuścił w nim wszystko, co dotyczyło cen i tym podobnych informacji, jako „nikogo”, w rzeczywistości zaś samego wydawcę nie obchodzących. Tak postępowali ci historycy, którzy koncentrując swą uwagę na takich bądź innych aspektach dziejów politycznych ruchu robotniczego, nie dostrzegli całej ogromnej sfery niezmiernie doniosłej problematyki dziejów klasy robotniczej. Kierunki zainteresowania historiografii — a z tym są właśnie związane owe białe plamy — wynikają w mniejszej mierze z trudności warsztatowych, niż z akceptowanej przez historiografię wizji świata, przyjmowanej przez nią hierarchii wartości i ich katalogu. Pomijam tu sprawę badawczego „tabu”, które historycy często skłonni są

fetyzyzować. Zgodzę się z autorką tylko gdy chodzi o zjawisko, kiedy historyk nie podejmuje pewnych uważanych przez za ważne tematów ze względu na niezależną odeń, a obiektywną niemożliwość ich uczciwego opracowania. Czasem przecież i tak bywa...

Książka E. Kaczyńskiej skłania do dyskusji. Z wieloma jej ujęciami wypadnie się nam zgodzić, z wieloma chciałoby się podyskutować. To dobrze. Właśnie dobrze. Bowiem jeżeli wstępna synteza prowokuje intelektualny niepokój, to znaczy, że spełnia swoje zadanie. Tak czy owak mamy wreszcie próbę ogólnego spojrzenia na dzieje polskiej klasy robotniczej (ściślej biorąc robotników przemysłowych) w okresie zaborów i to napisana przez jednego autora. Rozumiem psychologiczne motywy licznych zastrzeżeń i obaw autorki tej książki. Jakże ich nie żywić, skoro tak się złożyło, że mimo istnienia wielkich i mniejszych instytucji naukowych, często mających na sztydzie wypisane uroczyste nazwy, tak niewiele posunęła się nasza wiedza o dziejach klasy robotniczej?

JOZEF GRZELAK

Bitwa o podwieluńską ropę

**HUK POTĘŻNIEJE I TRUDNO OD-
DYCHAĆ W OPARACH ULATUJĄCYCH
SPALIN Z SZOPY, PO ŻELAZNYCH
SCHODACH IDZIE MŁODY MĘŻCZY-
ZNA LECZ NIE W ROBOCZYM KOM-
BINEZONIE A W CIEMNEJ KOSZULI
„POŁO” I W STARANNIE ODPRASO-
WANYCH SPODNIACH. PODAJE MI
UPRZEJMIE RĘKĘ. JUŻ PO CHWILI WIEM,
ŻE MOIM INTERLOKUTOREM JEST ASYSTENT
KIEROWNIKA GEOLOGICZNEJ WIERTNI Z
KRAKOWSKIEGO PRZEDSIĘBIORSTWA
POSZUKIWAŃ NAFTOWYCH. DZIWI SIĘ,
ŻE PRACA NA „KOPALNI” MOŻE
KOGOŚ INTERESOWAĆ. OBJAŚNIA
CEL BADAŃ GEOLOGICZNYCH W TYM
SZYBIE. PRACE POD WIELUNIEM
TRWAJĄ JUŻ PIĄTY MIESIĄC I JAK
DO TEJ PORY NATRAFIŁI TYLKO NA
BOGATE POKŁADY WAPIENIA I
PSTRĘGO PIASKOWCA. PRZEDTEM
WIERCILI KOŁO PIOTRKOWA. NA
TERENIE WJEWÓDZTWA ŁÓDZKIEGO
POSZUKUJĄ HORYZONTÓW BITUMICZNYCH,
CZYLI ROPY I GAZU ZIEMNEGO.**

— Tu obok, zaraz za drogą na Rychłocice, koledzy z sąsiedniej wiertni trafili na łożysko ropy naftowej i narobili od razu tyle zamieszania, jakby co najmniej znaleźli warstwę złota. Nie zdążyli nawet zadzwonić do naszej placówki w Sieradzu, a strumień zgwałt okazało się, że ropy było zaledwie około 600 litrów.

Rozmowę przerywa jeden z robotników, stojących przy kilkudziesięciu rurach niedawno wyjętych z szybu:

— Panie kierowniku, to my rozkręcimy te rury i włożymy na „Zuka”. Gwinty się wyboczyły i należałoby chyba zadzwonić do Sieradza, żeby przysłali nowe.

— Dobrze. Tylko się pośpieszcie z robotą, bo o czwartej trzeba zespawać jeszcze dwie podpory żelazne.

— Do „nafty” — bo tak zwykle mówi się o Przedsiębiorstwie Poszukiwań Naftowych — przyszedł po ukończeniu Technikum Przemysłu Naftowego w Krośnie. Wybór zawodu motywuje młodym wiekiem i zasłyszonymi pogłoskami, że tutaj się nieźle zarabia. Obecnie doszedł jednak do wniosku — nigdzie za darmo nie placą i w „nafcie” też nie.

— Mamy stałych pracowników. Sami rolnicy. Ze wsi. Są chłopaki, co mają po 18 lat, a są też tacy, co skończyli 40. Na wiertni jest nas 25. Mieszkamy przeważnie w mieszkaniach wynajętych u rolników w Olewinie. Praca jest trzymianowa.

Waldemar Zajdel jako gospodarz proponuje zwiedzenie swojej „kopalni” i poznanie jej ludzi.

Wszyscy pochodzą z Rzeszowskiego. Przeważnie są to absolwenci przeróżnych zawodowych i pomaturalnych szkół, szkół cich mechaników, płuczkowych, motorowych, wiertaczy... Lubią swoją pracę, chociaż niekiedy klną ten cygański tryb życia i przyrzekają sobie, że po skończeniu prac na jednej z kopalń przeniosą się do miasta. Przynajmniej będzie można się jakoś urządzić i założyć rodzinę. W rezultacie nikomu nie śpieszy się do wielkomiejskiego życia i zostają na kopalni. Miejsca pracy nie zmienia się przecież tak jak butów w zależności od pory roku. Zdarza się często, że w wioskach położonych obok wiertni poznają dziewczyny i żenią się. Powstaje wtedy problem, czy pozostać na gospodarce u teścia, czy też dalej pracować w „nafcie”. Różnie bywa. Na przykład Waldek pozostał na kopalni. Zonę poznał jeszcze trzy lata temu na ludowej zabawie w Woli Wiazowej. Stali tam właśnie z szybem poszukiwawczym. Obecnie żona mieszka nadal z rodzicami, a on odwiedza ją i pięciomiesięczną córeczkę co drugi dzień, bo do Woli Wiazowej zaledwie trzydzieści kilometrów.

— Właściwie to nam przysługuje tylko jeden dzień wolny w miesiącu, ale jak tu jechać do domu 420 kilometrów, żeby jeszcze zdążyć wieczorem do pracy. W takim wypadku robimy dwa tygodnie po 16 godzin co drugi dzień i wtedy jedzie się

na tak zwaną „wielką szychtę”, czyli na pięć dni urlopu.

Przechodzimy obok niedużego zbiornika z oleistą, brudną cieczą, który służy jako odstożnik dla zużytej płuczki po oddzieleniu z niej „urobku”.

— Może wejdziemy do magazynu z rdzami? — proponuje mój cicerone, pokazując na niedużą drewnianą szopę i nie czekając na moją odpowiedź otwiera skrzydła drzwi. — Właściwie rdzenie to nasza tajemnica, ale na własną odpowiedzialność pokażę. O, w skrzynce pod ścianą jest pstry piaskowiec. Dalej są próbki



okruchowe wapienia. Rdzenie są po to, żeby się upewnić, co wykazują próbki okruchowe...

W drewnianych rynienkach walcowatego kształtu leży piaskowiec. Na próbkach okruchowych karteczki z wypisaną datą odwiertu, miejscem i głębokością pokładu, z którego zostały wydobyte razem z płuczką. Z magazynu udajemy się w kierunku następnych drewnianych zabudowań.

— Magazyn smarów. Nic ciekawego. Towoty, nie towoty, oleje, superole... A to jest nasz zbiornik oleju napędowego do silników. Trochę przypomina zbiorniki z amerykańskich westernów. Główny zbiornik o pojemności 20 kubików wkopany jest w ziemię, a na zewnątrz widać tylko pojemnik roboczy. Paliwo na zasadzie naczyń połączonych płynie z niego bezpośrednio przewodami do „Woli 350”, czyli do silników. Jeden napędza wyciąg wiertniczy, a drugi pompę płuczkową.

W głosie Waldka wyczuwa się wielką dumę z powierzonego mu stanowiska zastępcy kierownika wiertni i związanych

z tym obowiązków. Jednocześnie słuchając rozmów Waldka z robotnikami uderza nas nieukrywana serdeczność, a zarazem poszanowanie decyzji przełożonego i dyscypliny pracy.

Kancelaria jest zwykłą szopą. Nadgniłe deski, a nad drzwiami równy napis: „Kancelaria”.

— To moja główna kwatery. Po tym szybko idzie na „złom”.

W środku dwa biurka zarzucone służbowymi dokumentami. W rogu przy małym nadajniku młody mężczyzna. Na czerwone światelko nadajnika reaguje podniesieniem telefonicznej słuchawki. Waldek informuje mnie półgłosem, że oto trzeci „umysłowy” na kopalni, po kierowniku i nim. Geolog. On to właśnie bada geologiczny skład rdzeni i próbek okruchowych. Jego zadaniem jest również składowanie codziennych raportów do Sieradza, dyktowanie przy nadajniku, utrzymującym bezpośrednią łączność z kierownikiem sieradzkiej placówki.

— Każda kopalnia ma taką radiostację, którą łączy się ze swoją placówką, a ta dopiero z dyrekturą w Krakowie. Do kancelarii wchodzi młody chłopak.

dziewczyna wnosi trzy szklanki herbaty.

Waldek uśmiecha się:

— To nasza kucharka. Maż pracuje przy silnikach. Nie chciała zostać na gospodarce, bo bała się, że Franek ją zdradzi.

Po wyjściu ze stołówki Waldek pokazuje mi grupę robotników, czekających na swoją zmianę. Podchodzimy. Ceremonia przywitania.

— Powiedźcie coś o swoich marzeniach. To jest pan z pracy — uroczyste przed stawia mnie cicerone.

— Moim marzeniem jest, żeby odwieścić spirytus, to cała wioska by nas chwaliła — żartobliwie odpowiada brunet w czarnym swetrze.

— A ty, Wiesiek?

— Żeby przetrzymać zimą.

— Właściwie to trudno określić nasze marzenia. Każdy chyba ma jakieś osobiste, a jeżeli chodzi o marzenia całej załogi, to najważniejszym jest na pewno znaleźć leżenie wreszcie tej ropy naftowej, której szukamy już trzech rok.

Pytam jak spędzają wolny czas po pracy. Pytam też o miasteczko w pobliżu.

— E, co tam taki Wieluń. Jakbym się w rynku położył, to głowa wystawałaby na pola. Nie ma żadnych dancingów, ani jakiegokolwiek porządnego lokalu. Raz poszliśmy na lody do „Róży”. Kazaliśmy po dać po afrykańsku, a kelnerka tak na nas spojrziała, że nam się głupio zrobiło.

Ponieważ sam nie wiedziałem o lodach po afrykańsku, więc poprosiłem o wyjaśnienie.

— To lód z mieloną kawą, czekoladą i dodatkiem wódki. Palce liść. Jak będzie pan przypadkiem w Piotrkowie, to proszę wstąpić do kawiarni przy rynku. Tam są.

— Zaraz, co tam lody — przerywa drugi robotnik. — Niech pan napisze, że chleba w tym Olewinie nie można dostać. Za opatrzenie fatalne, a konserwy rybne to leżą od zeszłego roku.

— Pwa też nie ma. Tylko na zabawie strażackiej w niedzielę i to po 6 złotych. A jak się idzie na taką zabawę, to trzeba dwa dni nie jeść, żeby zaoszczędzić na pić, a jeszcze z nożem w kieszeni.

Z szybu schodzi południowa zmiana. Moi rozmówcy przepaszają, żegnają się i idą przebrać się w robocze kombinzo-

ny. Waldek chce mi pokazać szyb. Po żelaznych schodkach wchodzimy na szyb, a dokładniej na wiertniczą armaturę kopalni. Obchodzimy silniki, pracujące teraz na najwyższych obrotach i kiedy chcę coś powiedzieć, muszę krzyknąć Waldkowi do ucha. Pokazuje mi, że tamtymi rurami nad zbiornikiem ze zużytej płuczką idzie urobek. Tłumaczy zadanie płuczki, przeciwdziałanie ciśnienia gazu i wynoszenie z otworu wiertniczego urobku.

Znowu krzyczy.

— Homieszka. W niej robi się płuczka. Gotowa płuczka płynie do pompy, a potem do otworu. Dalej, obok silnika, jest wyciąg wiertniczy. Jego zadaniem jest podnoszenie i opuszczanie świdra z rurami.

Robotnicy pozdrawiają nas skinieniem ręki i szerokim uśmiechem na zakurzonych twarzach.

Przy pulpicie sterowniczym starszy mężczyzna uważnym wzrokiem śledzi drgające wskazówki manometrów. Co trochę przesuwa dźwignię i obraca jakieś pokrętki. Od niego zależy bezpieczeństwo pracy wiertaczy. Jeden nierozważny ruch, moment nieuwagi, a lina ketlainy może przez wrócić cały szyb. W jednym z wiertaczy poznaję młodzieńca, który marzył o odwiedzeniu spirytusu. Wszystkie odbywa się tak szybko, że nie można pozwolić sobie nawet na otarcie potu z czoła, na zapalenie papierosa. Ogłuszający huk wyciska lzy z oczu. Wydaje się, że praca tutaj nie może trwać dłużej niż kilkanaście minut. A ci młodzi chłopcy przy otworze wiertniczym wytrzymują jednak kilkanaście godzin. Kwestia przyzwyczajenia. Daję znak Waldkowi, żebyśmy wracali. Na dole słowa gina w huku maszyn, a wiece ścisłkam tylko jego rękę i życzę wielu sukcesów nie tylko w pracy na kopalni.

Zostawiam ludzi, którym imponuje tułaczka, swoboda samodzielnego życia i ciężka, męska praca. Jeszcze niedawno nie uwierzyłbym, że ci młodzi ludzie mogą wziąć na siebie tak ogromną odpowiedzialność, jaka na pewno jest pracą na wiertni geologicznej.

Reportaż dla dorosłych

Dalszy ciąg ze str. 4

Cygańskim szlakiem wielu poszło i nie wróciło. Pozostali tylko najwytrwalsi. Ci

str. 8

z przedsiębiorstw budowlanych przenosili się do pracy w hucie. Huta oznaczała stabilizację, większy zarobek, mieszkanie. To już coś znaczyło. Praca w kombinacie znać czyła nobilitację na stałego mieszkańca Nowej Huty. Hutnik to zupełnie inny status zawodowy. Kto chciał pozostać, musiał iść do kombinatu, kto chciał zostać w kombinacie — musiał pracować, kto chciał pracować — musiał się uczyć. W pierwszym okresie dyrekcja kombinatu zwalniała rocznie po parę tysięcy osób. W ten sposób przewinęło się przez to miasto dziesiątki tysięcy przybyszów, aż pozostałi naprawdę najlepsi. Ci zapoczątkowali, być może, nową hutniczą dynastie.

Sam kombinat wielka rzecz, moena rzecz. Robi wrażenie na laiku, który aż do znużenia ogląda codziennie w dzien-

niku telewizyjnym efektowne lanie stali. Inna sprawa, że technologia tej produkcji jest absolutnie nieprzełumaczalna na język reportażu. I na szczęście tłumaczyć nie potrzeba. Chodzi człowiek po ogromnych halach, pełnych zgrzytów, donośnego dudnienia, huku i co najciekawsze — komplementnie opustoszałych. Gdzieś tam tylko dostrzec można wśród automatów żywego robotnika. Wszystkie procesy podstawowe są tu z reguły zmechanizowane, ogromne słaby stali same się toczą, pod wpływem młota, gilotyny i wody. Pośpny, imponujący i równocześnie przytłaczający to widok. Jedynie świadomość, że to przecież jednak człowiek uruchomił tę maszynę i nią kieruje, nie wpędza mnie w popłoch i panikę. Zwiedziłem slabing, stalownię konwertorowo-tlenową, walcownie blach

na zimno i na gorąco, spiekalnie rur, kokosownie, wielki piec. Tyle żelaza i stali naraz w życiu nie widziałem. Prócz pewnego oszołomienia niewiele z tego wyniosłem, może chyba tylko większy szacunek dla polskich inżynierów i poważanie dla hutników.

Przypuszczam, że to chyba wizję konwertorów Nowej Huty miał przed sobą Stefan Żeromski, który pisał w jednym ze swych utworów: „Osaczali oto prastary Kraków, rodzica polskiej potęgi, jak okiem sięgnąć ze wszechstron. Skupiały się łą ludową, wychodzącą z wioszczyn, dawały bezrolnej i małorolnej nędzy pracę, zamożność, wiedzę, siłę i moc pospólną do walki o wszystko”...

KAROL BADZIAK



TERESA WOJCIECHOWSKA

Wieczór baletów polskich

Planując wystawienie tego programu, kierownictwo Teatru Wielkiego powołało się szlachetnie na intencję ukazania początków — uogólnie skądinąd — polskiej sztuki baletowej. „Wesele w Ojcowie” Karola Kurpińskiego traktowane jest jako pierwszy polski balet klasyczny, niedaleką chronologicznie pozycję zajmuje „Na kwatunku” Stanisława Moniuszki, „Harnasie” Karola Szymanowskiego otwierają dzieje polskiego baletu współczesnego. Sam pomysł więc chlubny, nieco jednakże ryzykowny. Jak uczy praktyka teatralna ostatnich lat, odgrzebywanie staroci oplaca się wówczas, gdy zaadaptuje się je do wymagań współczesnego odbiorcy i współczesnej sceny. Takiej gruntownej adaptacji wymagały dwie pierwsze pozycje. Niestety, nie została ona dokonana.

Karol Kurpiński (1785—1857), znany nam dziś głównie jako twórca „Warszawianki”, która okazała się najtrwalszym jego dziełem, był największym przed Stanisławem Moniuszką twórcą w historii polskiej muzyki operowej i baletowej. Kompozytor, kapelmistrz, pisarz, organizator życia muzycznego w Warszawie jest autorem muzyki wielu oper i baletów, opartej na motywach ludowych. Muzyka ta nie przetrwała do naszych czasów, a Kurpiński w większym czy ba stopniu jest dziś oceniany jako zjawisko społeczne niż artystyczne.

„Wesele w Ojcowie” — obrazek



baletowy ukazujący obrzędy weselne w Krakowskim odznacza się łatwą, melodyjną muzyką, a w początkach ubiegłego stulecia posiadał zapewne dodatkowe walory patriotyczno-narodowe. Libretto jest wątłe, muzyka nie najwyższej próby — jeśli się więc rzecz wystawia, to trzeba przystąpić do tego z określoną koncepcją. Jaka? Wydaje mi się, że jedynie jako barwne, żywe, pełne temperamentu widowisko iskrzące się pomysły, efektownymi układami tanecznymi. Niestety, Janina Jarzynówna-Sobczak dała spektakl raczej dworski, przyćmiony w kolorze, nie pozbawiony nawet wdzięku, ale mało efektowny. Układy choreograficzne raczej ubogie, w dodatku wykonane na poziomie technicznym znacznie niższym niż ten, na jaki stać nasz zespół baletowy.

Jeszcze słabiej technicznie wypadła druga pozycja, Moniuszkowskie „Na posterunku”. Niewątpliwie nie jest to najlepsze dzieło muzyczne Stanisława Moniuszki, libretto jest naiwne i przestarzałe, ale daje duże możliwości przeobrażeń. I jeśli już chce się oddawać Moniuszce wątpliwą przysługę wskrzeszając tę pozycję, to trzeba libretto napisać od nowa. Potraktować rzecz jako humoreskę czy groteskę, pretekstów muzycznych jest dość. Tymczasem, z wyjątkiem muzyki, która jest jaka jest, zawiodło wszystko — choreografia, inscenizacja, kostiumy i dekoracje. Po scenie wierzgali i grzebali nożką ulani przystrojeni w jakieś okropne końskie siodła — ni to satyra ni kuce. Naiwność układów choreograficznych walczyła o lepsze z chaosem panującym na scenie. Bodajże ani jeden taniec zespołowy nie został wykonany równo. Z koncepcją reżyserską, traktującą serio to, czym się bawiono na widowni sto lat temu, kłóciła się wyraźnie koncepcja scenograficzna. Adam Killian ujawnił się tu jako twórca filmu animowanego, lalkowego, jego bajkowe dekoracje z przedziwną roślinnością w żadnym stopniu nie korespondują z tym, co się działo na scenie.

Tego wieczoru wszyscy jakby się uwzięli, żeby Moniuszce zrobić na złość. W programie zamieszczony jest opis wyglądu kompozytora wyjęty z książki A. Wallenkillego o Moniuszce. Aczkolwiek ogólna wymowa tego opisu jest nader pozytywna dla wyglądu Moniuszki, nie wiem czy mistrz byłby tym portretem zachwycony.

Aż dziwne, że po dwudziestu minutach przerwy, na scenie Teatru Wielkiego pojawił się jakby inny zespół. Oczywiście, „Harnasie” Szymanowskiego, to bogate tradycje na scenach polskich i zagranicznych, to wspaniała muzyka, a wystawienie tej pozycji można przyjąć jedynie z uznaniem i zadowoleniem. To wspaniałe dzieło baletowe miało swą prapremierę w 1935 roku w Pradze, w rok później oglądał je Paryż z Serge Lifarem jako choreografem i odtwórcą partii Harnasia, w 1937 roku wystawił „Harnasie” Hamburg, a dopiero w 1938 roku Poznań — z inicjatywy dr Zygmunta Latoszewskiego. Ale jest to także pozycja, która często pojawia się na polskich scenach baletowych, więc jej wystawienie wcale nie jest łatwe. Witold Borkowski dał interesującą, piękną wersję tego baletu. Pewne przepracowanie libretta wyszło przedstawieniu na korzyść, baśnio we dekoracje Adama Killiana na-

brały tu posępnej, zharmonizowanej z ogólną koncepcją przedstawienia urody. Zagrały czerwień piękne, efektowne kostiumy zbrojników i białe kostiumy górali, nabrał życia i odzyskał jakąś swą sprawność taneczna zespół baletowy. To „Harnasie” Borkowskiego sprawiają, że publiczność wychodzi z teatru zadowolona.

W „Wieczorze Baletów Polskich” występuje cały niemal zespół Teatru Wielkiego, powiększony o słuchaczy studium baletowego. Na sobotniej premierze Ewa Wycichowska była wdzięczną Panną Młodą, jako Pan Młody towarzyszył jej Eugeniusz Jakubiak, którego oglądaliśmy — już w bardziej popisowej partii — jako Harnasia w „Harnasiach”. Jego partnerką była Iwona Wakowska, jak zawsze reprezentująca wysoką klasę taneczną. Włodzimierz Traczewski w „Na kwatunku” spłatal figla jako Maruder. Miał być najmniej sprawnym z ulanów, tymczasem pobili swych dzielnych kolegów na głowę, poddając w jeszcze większą wątpliwość i tak wątpliwy sens libretta.

A w ogóle, to zespół, czyli corps de ballet, czuł się w dwóch pierwszych obrazkach chyba bardzo niedobrze. Co nie odbiło się dodatnio na wykonawstwie.

Stronę muzyczną opracował i przygotował oraz orkiestrę popro-



wadził Arkadiusz Basztoń — starranie, czysto, w „Harnasiach” szczególnie interesująco.

***) WIECZÓR BALETÓW POLSKICH.**
K. Kurpiński: „Wesele w Ojcowie”. Kierownictwo muzyczne — Arkadiusz Basztoń, inscenizacja, reżyseria i choreografia — Janina Jarzynówna-Sobczak, scenografia — Adam Killian.

S. Moniuszko: „Na kwatunku”. Kier. muzyczne — A. Basztoń, inscenizacja, reżyseria i choreografia — J. Jarzynówna-Sobczak, Piotr Schulz, scenografia — A. Killian.

K. Szymanowski: „Harnasie”. Kier. muz. — A. Basztoń, inscenizacja, reżyseria i choreografia — Witold Borkowski, scenografia — A. Killian. Teatr Wielki w Łodzi. Premiera 24. X. 1970 r.



EUROPEJSKIE ZWIĄZKI LITERATURY POLSKIEJ

Obszerny ten tom przygotowany został pod patronatem Katedry Historii Literatury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego i poświęcony wybitnemu badaczowi dziejów literatury polskiej — prof. Zofii Gąsiorowskiej-Szmydłowej. Zawiera 28 rozpraw autorów polskich i obcych i obejmuje problematykę europejskich związków literatury polskiej od czasów Renesansu po nam współczesne. Z czasów dawniejszych wiele nowego materiału przynosi rozprawa Jadwigi Rytel o nieznanej włoskiej relacji z podróży po Polsce, podjętej przez Luigi Bevilacqua w 1609 roku oraz praca Elidy M. Szaroty o Piastach w literaturze niemieckiej XVII wieku. Węgierski badacz Istvan Csapláros podejmuje zadanie związku romantyzmu polskiego z węgierskim w pierwszej połowie XIX stulecia, dorzucając garść węgierskich mickiewiczianów i świadectwa recepcji innych polskich pisarzy w zaprzyjaźnionym kraju; Jan Z. Jakubowski pisze o Mackiewiczu w kręgu Goethego i Fausta, zaś Maria Straszewska o pierwszych francuskich przekładach Mickiewicza, Józef Magnuszewski o recepcji twórczości Malczewskiego w Czechach. Nie sposób wymienić tu choćby tylko ważniejszych rozpraw, opublikowanych w omawianym tomie; nie wolno jednak pominąć prac o wpływie Zola na polską myśl literacką a zwłaszcza rozprawy Henryka Markiewicza „Międzynarodowe znaczenie literatury polskiej w sądach krytycznych i historyczno-literackich”.

Wydawnictwo ma charakter zbioru studiów, daleko więc do systematycznego przedstawienia związków literatury polskiej z piśmiennictwem obcym. Przynosząc nowe, często znakomicie osadzone w materiale źródłowym prace, nie tylko zwraca na siebie uwagę czytelnika, ale znacznie posuwa naszą wiedzę o miejscu literatury polskiej w Europie w dawniejszych i bliższych wiekach.

J. G.

Europejskie związki literatury polskiej, red.: J. Z. Jakubowski, J. Kulczycka-Saloni, Z. Libera, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1969, stron 486, cena 60 zł.

HISTORYK O „KRZYŻAKACH”

Jak to było naprawdę pod Grunwaldem? Ile w naszych spojrzeniach na tamten okres historyczny jest sienkiewiczowskiej wizji, a ile rzeczywistej prawdy historycznej? Odpowiada na te wszystkie pytania rozprawka prof. Stefa na M. Kuczyńskiego, wydana przez Państwowy Instytut Wydawniczy.

A problem jest ciekawy. Przecież już na początku naszego wieku Stanisław Brzozowski zarzucał Sienkiewiczowi, że „lekkocieżnie się on historii, tworzy karykaturę, mimowolną i upokarzającą parodię... Parodią są „Krzyżacy”... Oczywiście pokolenia

czytelników przeszły obojętnie obok tej wypowiedzi znakomitego krytyka, ale problem wartości historycznej „Krzyżaków” — pozostał.

W książce prof. S. M. Kuczyńskiego znalazł on swoje rozwiązanie. Świetny znawca epoki wyjaśnił nie tylko co w „Krzyżakach” jest wizją pisarza, ale także — dlaczego, skąd, z jakich źródeł czerpał Sienkiewicz tworząc określony obraz historyczny. „Korektury historyczne” prof. S. M. Kuczyńskiego do „Krzyżaków” są poza tym oparte o wyniki najnowszych badań tamtej epoki, których nie znał Sienkiewicz, a więc niosące aktualną informację naukową. Można więc „Rzeczywistość historyczną w „Krzyżakach” czytać równoległe z dziełem Sienkiewicza, ale można czytać także zupełnie niezależnie. Jest to bowiem pasjonująca opowieść historyczna — o tym, co zdarzało się naprawdę i o tym dlaczego znakomity pisarz nieco rozminął się z ową „prawdą”.

J. W.

S. M. Kuczyński „Rzeczywistość historyczna w „Krzyżakach” Henryka Sienkiewicza”, PIW, cena zł 15.—

LATA MIĘDZYWOJENNE

Kto nie zdążył w swoim czasie zapoznać się z książką Wiesława Pawła Szymańskiego „Od metafory do heroizmu”, ten ma okazję zrobić to obecnie. Książka Szymańskiego ukazała się właśnie w drugim rozszerzonym wydaniu i pod zmienionym tytułem „Z dziejów czasopiśmiennictwa literackiego w dwudziestolecie międzywojennym”. Poprzedni tytuł był lepszy, bo krótszy i bardziej fascynujący, ale rzecz nie leży przecież w tytule. Praca Szymańskiego jest wielce pożyteczna (najlepszy dowód, że pierwsze wydanie rozeszło się szybko), gdyż porządkuje naszą wiedzę o czasopiśmiennictwie i grupach literackich zamkniętym już okresu historycznym. Autor uwzględnił narodziny, rozwój i upadek wszystkich badanych czasopiśmiennictwa, które pomiędzy dwiema wojnami odegrały jakąś rolę w dziejach polskiej kultury literackiej. Nie ma co prawda u Szymańskiego nie o „Wiadomościach Literackich”, ale może dlatego, że było to czasopiśmiennictwo eklektyczne, oparte nie o zwartą literacką grupę pisarską. Szymański pisze o „Kwadracie”, „Linii”, „Lewarcie”, „Zagarach”, „Marcholcie”, „Okolicy Poetów” i innych. Nas, ze zrozumiałych powodów, najbardziej obchodzi to, co Szymański napisał o wydawanej w Ostrzeszowie Wielkopolskim „Okolicy Poetów”. Jak wiadomo, założycielem i redaktorem tego miesięcznika był poeta, prozaik, krytyk i folklorysta, Stanisław Czernik. Trzeba powiedzieć, że szkic Szymańskiego o dziejach „Okolicy Poetów” jest dokładny, obiektywny i uwzględniający wszechstronnie dokonania jej redaktora. Również pozostałe szkice odznaczają się obiektywizmem i sumienną relacją krytyczną.

Cenna książka, która winna znaleźć się w bibliotece każdego krytyka, pisarza, studenta filologii polskiej i nauczyciela-polo-nisty.

JK.

Wiesław Paweł Szymański: „Z dziejów czasopiśmiennictwa literackiego w dwudziestolecie międzywojennym”, Wyd. Literackie, Kraków 1970, str. 386.

Spektakle tygodnia

TEATR WIELKI	Spektakle widzów proc.
„Tragedyja”	1 843 70
„Książ Igor”	1 1260 100
„Wieczór baletów polskich”	2 2520 100
NOWY	
„Będę mówił szczerą prawdę”	3 2100 100
„Zemsta”	3 1900 90
„Janosik”	1 420 60
„Księżyc świeci nieszczęśliwym”	1 870 80
„Oziś do ciebie przyjść nie mogę”	1 700 100
MAŁA SALA	
„Karlera”	1 160 80
„Pelikan”	2 200 50
„Teoria Einsteina”	1 140 70
„Rodeo”	2 400 100
POWSZECHNY	
„Lizystrata”	2 1200 95
„Profesja pani Warren”	3 1980 100
„Wszyscy moi synowie”	2 1220 100
JARACZA	
„Król Edyp”	2 938 92
„Piacówka”	2 975 95
„Tajemniczy ogród”	2 1009 99

Listy

do

Redakcji

SZANOWNY PANIE
REDAKTORZE!

W nawiązaniu do artykułu z prasowego red. Bogdy Madej pt. „Zezem na Kosmetykę” zamieszczonym w nr. 38 „Odgłosów” z dnia 20. IX. 70. Zjednoczenie Przemysłu Chemii Gospodarczej „Pollena” przede wszystkim wyraża podziękowanie autorce artykułu za słowa uznania odnośnie jakości polskich kosmetyków i zrozumienie kłopotów związanych z prowadzeniem produkcji kosmetycznej.

Słusznie i zgodnie ze stanem faktycznym omówione są w artykule sprawy zaopatrzenia rynku. Zjednoczenie pragnie jednak poinformować, że realizacja do staw wyrobów perfumeryj-

no-kosmetycznych w roku bieżącym jest wyższa od dostaw roku ubiegłego o 18 proc, co jest niewątpliwie dużym osiągnięciem przemysłu. Tym niemniej w wielu asortymentach pokrycie jest niewystarczające, na co składa się szereg czynników, poruszonych zresztą przez autorkę artykułu.

Celem lepszego pokrycia zapotrzebowania rynku, Zjednoczenie podjęło cały szereg działań w zakresie wzbogacenia asortymentu oraz zwiększenia produkcji brakujących wyrobów. Zwiększone zostały dostawy kredek perłowych, mimo dużych trudności z uzyskiwaniem oprawek. Wprowadzono nowe asortymenty szamponów do włosów („Pollena”, „Splendid”), przekazano na rynek krajowy środki upiększające oczy, jak cienie prasowane do powiek, czy tusz do rzęs łącznie z cieniem.

Odnośnie gorszego zaopatrzenia Łodzi w szereg artykułów Zjednoczenie uprzejmie wyjaśnia, że artykuły, których produkcja jest niższa od zgłoszonych potrzeb handlu, są stawiane do dyspozycji Centrali Handlowej, które dokonują rozdziału na poszczególne województwa. Na dokonywany podział Zjednoczenie nie ma więc wpływu.

W obecnej sytuacji podział ten nie jest łatwy i stąd prawdopodobnie wyni-

kają przejściowe braki w różnych województwach.

Z-ca Nacz. Dyr.
d/s Handlowych
mgr. KRYSZTANA
ZMIJEWSKA

SZANOWNY PANIE
REDAKTORZE!

W interesującym artykule Kazimierza Paszkowskiego „Ze wspomnień wydawcy” zamieszczonego w „Odgłosach” z 4. 10. br. zakradł się błąd, który pragnę sprostować w oparciu o relacje prof. dra Zdzisława Zygułskiego, byłego profesora szkół średnich i Uniwersytetu we Lwowie, następnie założyciela Katedry Filologii Germańskiej przy Uniwersytecie Łódzkim, obecnie mieszkającego i pracującego naukowo we Wrocławiu.

Autorem zbioru „batarskich” piosenek wydanych pt. „Śpiewające przedmieście” pod pseudonimem Stefan Wędrowny nie był Stanisław Wasylewski. Autorem zbioru był kolega prof. Zygułskiego, germanista Kuba Rollauer, później także profesor gimnazjalny we Lwowie.

Rollauer, trochę dziwak, miał żywe zainteresowanie dla podmiejskiego folkloru i dla świata przestępczego. Zrzucił tedy z siebie odzienię, jakie przystało na inteligentowi i przebrał odpowiednio krażył po knajpach podmiejskich,

wdawał się w rozmowy z siedzącymi tam osobnikami i potrafił pozyskać ich zaufanie, co nie było rzeczą łatwą. Tam słuchał ich śpiewów rozbrzmiewających także, zwłaszcza nocami, po ulicach, podwórzach i zapamiętał sobie te piosenki z ich wariantami. Tak powstał opublikowany później zbiorek.

Rollauera interesowała szczególnie postać znanego wówczas bandyty i awanturnika, Józka Mażyńskiego, który był człowiekiem niezwykle silnym. Pracując okresowo przy budowie nowego dworca kolejowego we Lwowie podnosił sam ciężkie, żelazne szyny, które czterech robotników ledwie ruszyć mogło. Stał na czele bandy grasującej po gródeckim przedmieściu. Miał też swoich rywali, z którymi żył na stopie wojennej. W czasie pewnej rozprawy z konkurencją został do tego stopnia poraniony nożami, że w kilka dni później zmarł w szpitalu. Pamięć o nim trwała nadal. O nim śpiewano jeszcze latami na lwowskiej ulicy:

Coś tam na Gródku lud się zbiera,
Co tam za hałas, co za gwar?
Oto prowadzą dezertera
Pośród bagnietów kuku par.

Drugim słynnym bandytą był wówczas „król włamy-

waczy” Iwowski; Wasifski. Ze swoją szajką grasował nie tylko we Lwowie, ale wyjeżdżał także na „gościnne występy” do Czech i na Węgry. W Pradze podczas pościgu zastrzeił policjanta, który zapległ mu drogę. W końcu ujęty skazany został na piętnaście lat ciężkiego więzienia. Karę odsiadywał we lwowskich Brygidkach, a członkowie szajki urządzali mu od czasu do czasu serenadę pod więziennymi murami. Po nieudanej ucieczce został przez dozorców tak pobity, że wkrótce zmarł w więziennym szpitalu. I o nim krążyły liczne piosenki, np.:

Uj Wasifski, uj Wasifski!
Naj cie nagły trafi szlag,
A mówilem, a mówilem,
co z Gottwaldem będzie krach!

Ów Gottwald był członkiem szajki i przez niezręczne zeznania w śledztwie zaszkodził swoim współnikom.

Warto dodać, że na wspomnianym przez Kazimierza Paszkowskiego koncercie Slezaka we Lwowie był także obecny prof. Zygułski. Slezak miał nie tylko wspaniały głos, ale także duże poczucie humoru, co mu potem umożliwiło występowanie w filmie w rolach komicznych. Łącząc należne wyrazy podziękowania

Dr ZENON RUDNICKI

OBIEKTYW

ODROBINA FUTUROLOGII

Od miesiąca czynny jest drugi kanał. Telewizjowicze stawali do raz pierwszy wobec możliwości wyboru. Mówię, oczywiście o tych, którzy obiecyli się zasięgiem drugiego programu. Stało się więc możliwe wylądowanie rodzynków, czyli przetrzymanie się z kanału na kanał w poszukiwaniu najlepszych pozycji programowych.

W chwili obecnej drugi program nie stanowi jeszcze silnej konkurencji dla pierwszego. Nie ze względu na swój edukacyjny charakter, ale z uwagi na ograniczony czas nadawania, gorszy w wielu wypadkach poziom techniczny obrazu i dźwięku, jak również na ogólne „mierokrepcenie” jeszcze programu.

Można by zarzucić osobom odpowiedzialnym za drugi program, że przyjeżdżają z miasteczka ten sam młody schemat zagospodarowywania czasu emisji, który panuje w pierwszym programie. Ten sam typ skierowania, który stanowi bardziej przerwany niż łącznik między poszczególnymi pozycjami programowymi, to samo zatamowanie i eklektyczność. Czy tak być musi? Czy nie można pokusić się o koncepcję bardziej całościową o logiczne wiązanie ze sobą a nie mechaniczne następstwo jednostek programowych?

Dalszy krok w przyszłość, już zapowiadany, choć termin może jeszcze ulec opóźnieniu, stanowić będzie telewizja kolorowa. Czeka ona na ekonomiczniejsze rozwiązania techniczne, które umożliwią szerokie korzystanie z tej technologii. Jak dotąd odbiorniki przystosowane do telewizji kolorowej musiałby być bardzo drogie.

Albowiem w dziedzinie telewizji nie odbywa się tylko wszerz. Poważna część programów artystycznych i rozrywkowych nie jest już dziś nadawana na żywo, lecz nagrywana na taśmie filmowej lub magnetycznej. Moment emisji programu zostaje więc oderwany od momentu produkcji artystycznej i przesunięty w czasie.

Dało to telewizji lepsze możliwości programowania, jak również powtarzania do jakiegoś czasu udanych pozycji. Tworzy się coraz bogatsza taśmateka, stanowiąca rezerwę awaryjną, jak i kapitał, którym można operować. Do nagrywania programów na taśmie wykorzystywać można godziny nocne, zwiększając w ten sposób „przelotowość” studia i urządzeń technicznych.

Jeżeli jednak zechcełby państwo pobawić się wraz ze mną w tak modną dziś metodę przewidywania czyli futurologię, to zaryzykuje twierdzenie, że telewizje czekała w niedalekiej przyszłości dalsze poważne zmiany. Skoro dzisiaj tworzy ona swój magazyn programowy, to za lat, powiedzmy, jks magazyn taki będziemy mieli u siebie w domu. Tak jak dziś magazynujemy muzykę w postaci płyt gramofonowych lub taśm magnetofonowych z nagraniami.

Może będziemy wyożyczałi sobie taśmy z programami telewizyjnymi, tak jak obecnie korzystamy z książek z publicznych bibliotek. Telewizor służyć nam będzie wtedy dwójako: do odbioru aktualnego programu i do odczytu zarejestrowanych programów, na których obejrzenie przyjeżdżamy w danej chwili ochota. Odbiorniki radiowe już dziś spełniają nam to podwójną rolę.

A więc przyszłość przyniesie poważne zmiany w technice oglądania telewizji. Bieżący program telewizyjny zawiąże wtedy przede wszystkim aktualności z kraju i ze świata, dzienniki, reportaże, natomiast programy rozrywkowe, filmy, zekranizowane spektakle teatralne a także pozycje oświatowe wybieralibyśmy dla siebie sami.

Nie trzeba dodawać, że taka perspektywa przyszłościowa wymaga nie tylko poważnego postępu technicznego, ale i dojrzałości widza. Na razie długo jeszcze wyboru programu dokonywać będzie za nas telewizja. Będzie przewodnikiem i doradcą.

Nasza krótka wycieczka futurologiczna nie jest jednak czystą fantazją. Tak jak w latach, dajmy na to, czterdziestych, czy wczesnych pięćdziesiątych nie było fantazją przewidywanie, że w co drugim mieszkaniu Polaka znajdzie się telewizor.

Władysław Otcymy

POLONICA

PAWLIKOWSKA
W CZESKIM
CZASOPISIMIE

Nowy, bardzo obszerny zeszyt znakomitego czeskiego czasopisma „Svetova Literatura” przynosi przekłady 21 wierszy Marii Jasnorskiej - Pawlikowskiej, dokonane przez Vlastę Dvorackovą. M. in. znalazły się tu utwory: „Ja”, „Dwa słońca”, „Kobieta-Ikar”, „Stworzyciel”, „Jesiń”, „Ofelia”, „Zabity w górach”, „My, konie”, „Modelka” i inne. Tłumaczka poprzedziła ten wybór wstępem biograficzno-informacyjno-krytycznym, ozdobionym reprodukcją portretu naszej poetki pędzla jej ojca, Wojciecha Kossaka (z 1939 roku). Nowy to dowód (po przekładach Jana Płara z Gałczyńskiego, Tuwima, Leśmiana, Norwida i Iwaskiewicza) jak cenią Czesi naszą poezję i jak ją potrafią przyswoić.

W. N.

„LE MONDE” O GROTOWSKIM

Paryski „Le Monde” przyniósł w numerze z dnia 15 października obszerny, niemal całostronicowy sprawozdanie z festiwalu awangardowych teatrów, który się odbył w Szirazie (Iran). Obszerny ustęp tego sprawozdania, pióra Dominique Desanti, został poświęcony teatrowi Jerzego Grotowskiego. Ponadto zamieszczone tutaj sylwetkę dyrektora wrocławskiego Teatru-Laboratorium, napisaną przez tę samą autorkę. „Lata walki — czytamy tu — o to, by zapewnić pozycję wrocławskiemu Teatrowi-Laboratorium; i oto jest już Grotowski uniwersalnym prorokiem dla całej młodzieży poniżej 25 lat pochłonięty przez swoje dzieło, stanowiące jego obsesję, jest tym, który przynosi objawienie wedle Stanisławskiego i Artauda. Tym, dzięki któremu teatr, nasycony wszelkimi ascetami, pozwoli wydobyc z ciała, całkowicie opanowanego, najgłębszy krzyk cierpienia i ludzkiego triumfu”.

W. N.



O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Wieloletnia coroczna tradycja Dni Filmu Radzieckiego daje nam okazję zapoznania się z nowościami kinematografii radzieckiej, głównymi kierunkami jej zainteresowań i tendencji rozwojowych. Przyzyczaliśmy się już do tego, że niemal co roku w zestawie tych filmów znajdują się adaptacje wielkiej klasyki literatury rosyjskiej i

radzieckiej, filmowe powroty do czasów Rewolucji i ostatniej wojny, filmy o tematyce współczesnej, a także coraz ciekawsze propozycje poszczególnych kinematografii narodowych Kraju Rad.

Tegoroczny repertuar Dni Filmu Radzieckiego jest dla tej tradycji niezwykle typowy, wymieńmy choć kilka jego pozycji.

Spośród blisko stu filmów fabularnych, dokumentalnych i popularnonaukowych poświęconych Leninowi i jego idei, na premiery w polskich kinach w Dniach Filmu Radzieckiego wybrano dwa filmy dokumentalne: „Lenin — karty życiorysu” i „Lenin — fakty i wspomnienia”. Klasykę literatury rosyjskiej reprezentują w tym roku dwa filmy: „Zbrodnia i kara” oraz omawiane już w naszej rubryce „Szlacheckie gniazdo”.

Do czasów ostatniej wojny powraca film „Daleko na Zachodzie”, współczesność najciekawiej jawić się będzie w filmie niespożytego Gierasimowa pt. „Nad jeziorem”.

Ciekawą premierą tegorocznych Dni jest również film „OCZAMI PRZYJACIÓŁ” produkcji polsko-radzieckiej, podpisany przez znaną nam z filmu „Za waszą i naszą wolność” spółkę

autorską — Ludwik Perski — Leonid Machnac.

Pomysłem wyjściowym dla tego pełnometrażowego filmu dokumentalnego była próba zarejestrowania na taśmie filmowej tego, co w oczach Rosjanina zda się najciekawsze w wizerunku Warszawy i vice versa, w oczach Polaka tego, co najbardziej frajdujące w Moskwie. W wyniku tego założenia powstał film, w którym wyodrębnić można sześć tematycznie przeplatających się części, z których każda jest pełną całością. Niemal w każdej z nich zjawia się próba zderzenia tego, co już jest zamkniętą, najczęściej tragiczną kartą dziejów każdej ze stolic z tym, co określa jej dzień dzisiejszy.

Zarówno jednako Perski, jak i Machnac w swych próbach uchwycenia urody miast, ich dnia codziennego i świątecznego oraz pewnej specyfiki obyczajowej nie wyszli zbyt daleko poza na ogół obiegowy krąg opinii. Nie zaspokoił do końca naszej ciekawości określającej się w pytaniu: jak nas widzą inni. Nie udało im się przedrzeć z głębi spraw, którymi naprawdę żyją współcześni warszawiacy i moskwiczanie.

Ale nawet wówczas, gdy oczekiwaliśmy czegoś więcej od obu realizatorów, nie możemy im nie podziękować

za film, który naprawdę znakomicie się ogląda. Od formuły filmowego folderu udało im się uciec dzięki nasyceniu filmu bardzo ciepłym, serdecznym klimatem obu opowieści o miastach i ich mieszkańcach. Jest on szczególnie uchwytyn w częściach warszawskich, zrealizowanych przez Machnacza.

Film jest najbogatszy w obserwacjach obyczajowych ciekawostek, zwraca naszą uwagę na rzeczy, do których przywykliśmy, których nie dostrzegamy na co dzień, a które dzięki kamerze Rosjanina nabierają w naszych oczach nowych znaczeń. Mniemam należy, iż odnosi się to zapewne i do propozycji Perskiego. Zaletą tego filmu jest również jego dowcip i bezpośredniość, pozbawiona zbędnych ogólników czy patosu.

* * *

„DALEKO NA ZACHODZIE” — dramat wojenny w reżyserii A. Fajncimera lódzka publiczność ogląda w jego pełnym wydaniu, określonym przez taśmę 70 mm i stereofonię. Te techniczne walory projekcji są ważne w filmie, w którym widowiskowe elementy grają tak ważną rolę.

Akcja filmu rozgrywa się w 1944 roku na małej wyspie w zachodnich wy-

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

brzeży Francji; na ile przedstawia zdania autentyczne, trudno powiedzieć. Autorzy filmu tego nie mówią. U podstaw fabuły znajdują się jednak prawdziwe fakty wielu odnotowanych przez historyków powstań żołnierzy radzieckich, wziętych przez Niemców w różnych krajach Europy. „Daleko na Zachodzie” przedstawia zwycięskie powstanie 400-osobowej grupy więźniów radzieckich skierowanych przez Niemców do budowy umocnień Wału Atlantyckiego. Film ten, kontynuując tradycje wojennego eposu heroicznego tak typowego dla kinematografii radzieckiej, ciąży jednak bardziej ku konwencji fabuły wojenno-przygodowej, choć realizatorzy, głównie poprzez postać dowódcy powstania, nie rezygnują również z pewnych psychologicznych traktowań tematu.

W tej opowieści o bohaterstwie i braterstwie, chyba wskutek tego, iż zaciężyła na niej owa formuła filmu przygodowego, nie uniknięto pewnych nalowności. Widać je głównie w obrazie działania obywatelskiej konspiracji i w tym, jak Rosjanie wyobrażają sobie Francuzów. Atutem tego filmu są nie wątpliwie jego widowiskowe walory, choć nie sądzę, iż o nie głównie autorom chodziło.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

WYSTAWA MALARSTWA GOYA

Wystawa obrazów wielkiego hiszpańskiego malarza. Goya odbywa się obecnie w Paryżu dokąd została przeniesiona z Holandii. Ekspozycja obejmuje dzieła wyłącznie malarskie, pięćdziesiąt osiem płócien, to jest mniej więcej dziesiątą część tego co artysta pozostawił w swym dorobku twórczym. Obrazy pochodzą z różnych okresów życia malarza jakkolwiek nie ma tu płócien z ostatnich lat jego życia. Dzieła zostały wypożyczone z wielu muzeów europejskich oraz kilku kolekcji prywatnych.

Francisco Jose Goya y Lucientes urodził się w roku 1746 w wiosce aragońskiej jako syn chłopca, złotnika (pożalac ołtarze), matka, Gracia Lucientes pochodziła ze zbiegłej szlachty. Francisco wcześniej przejawiał zdolności artystyczne. Była to natura bujna, nieokielzana. Silny, zreczny przeżywał nieraz w towarzystwie zuchów

brał udział, na placu boju pozostało trzech zabitych. Dwudziestoletni Francisco Goya musiał uciekać. Zjawia się w Madrycie, gdzie kształcił się artystycznie, wystawia tu nawet swoje obrazy, ale nie zyskuje większego uznania. Na dalsze studia postanawia wybrać się do Włoch. Aby zdobyć niezbędne do podróży pieniądze, Goya zabiera w prowincjonalnych miasteczkach jako toreador.

Przed rokiem 1770 jest już w Rzymie. Jak postano wił, kształcił się malarsko, nie rezygnując równocześnie z wesołej zabawy, awanturki miłosnych, pojedynków i rozmaitych wyczynów (podobnie wdrapał się pewnego razu na kopułę katedry św. Piotra). W roku 1771 Francisco wraca do Saragossy. Zarabia malując wnętrza kościołów i pałaców, potem widzimy go w Madrycie. W owym czasie staje się już dość znanym malarzem. Przy pomocy swego mistrza Bayasu, Goya otrzymuje zamó



Goya — Don Manuel Osorio

sobistości. W roku 1789 Francisco Goya misnowany zostaje pierwszym malarzem dworu Karola IV. Wkrótce ciężka choroba, objawiająca się szumem w uszach, a potem dobiegająca głuchota, odrywa artystę na dwa lata od pracy malarskiej. W roku 1792 Goya znów chwycił za pędzel. Jest już zupełnie innym człowiekiem niż dawny Francisco, zabijaka i toreador. Kompletnie głuchy, zamknięty w sobie, zrywa żywsze kontakty z otoczeniem. W jego malarstwie zaznacza się wyraźny przełom, zwłaszcza, że od roku 1790 daje w swej twórczości wyraz nastrojom grozy. Wojna i jej okrucieństwa poruszają Goję do głębi. Rozczarowany do Napoleona i okupacji Hiszpanii przez wojska francuskie maluje m.in. wstrząsającą scenę rozstrzelania powstańców madryckich. Dalsze lata nie przynoszą pociechy malarzowi. Narzuca mu się despotyzm władcy Ferdynandowi VII, wielki artysta Hiszpanii zostaje wygnany ze swego kraju. Przybywa do Bordeaux we Francji gdzie umiera w cztery lata później w roku 1828. Pozostawił po sobie niezwykle bogaty i różnorodny dorobek artystyczny. Jego sztuka była idylliczno-roman-

tyczna jak i tragiczna w swym wyrazie. Odzwierciedlała niespokojny i burzliwy czas, w którym żył i jego własną, skomplikowaną, miotaną namiętnościami naturę. Malując zawsze z pasją oddawał bądź pogodne i radosne sceny z życia jak np. zabawy ludowe bądź też tworzył satyryczne grafiki chłoszczące wady ludzkie. Kiedy indziej ponurość, groza, niesamowita fantastyka zaskakująco widza niezwykłą ekspresją i wizjonerstwem.

Miał niesłyszany wyrobione poczucie koloru. Malując, podobno rzucał na płótno najpierw barwne piamy, potem dopiero tworzył z nich przedmioty i postacie. Wywodząc się ze sztuki baroku stał się prekuzorem romantyków.

„HADRIAN VII”

„Wystawiona z artystem, grana z perfekcją, jest bez wątpienia sztuką najbardziej inteligentną i najbardziej oryginalną początku sezonu” — pisał recenzent paryskiego tygodnika „L'Express” o sztuce scenicznej pt. „Hadrian VII” Petera Luke, na podstawie powieści F. W. Rolfe'a. Dramat wystawiony jest w „Theatre de Paris”.

Zaczniemy od kilku słów na temat samego Rolfe'a bowiem sztuka, będąca adą piątą jego książki, zawiera wiele elementów jego własnej dramatycznej biografii. Jej bohaterem jest on sam Frederick William Rolfe, baron Corvo, który żył w latach 1860 do 1913 i był jedną z najbardziej ekscentrycznych postaci wśród angielskich pisarzy. Urodzony w rodzinie dość zamożnej miał wszelkie możliwości by obrać sobie za wód profesora, pisarza, malarza czy fotografa. I Rolfe pełnił kolejno każdy z tych zawodów, z żadnego z nich nie był jednak zadowolony. Zdaje się, że marzył o karierze duchownej. Był anglikaninem potem przeszedł na katolicyzm. Ogarbił zapalem religijnym wstąpił do seminarium duchownego. Niedługo tu był. Został ze szkoły wyrzucony. Czy marzył kiedykolwiek by zostać papieżem? Powieść „Hadrian VII” jest bowiem historią człowieka o początkowo niemal idyllicznych losach jak losy autora. Ale w powieści jej bohater również wyrzucony z seminarium zostaje mimo wszelkich przeciwności

papieżem Hadrianem VII. Czy dzieje bohatera powieści są przedstawieniem aspiracji samego Rolfe'a?

Jaki jest papież Hadrian VII według wyobrażeń autora? Jest papieżem — reformatorem, demokratą z ducha. Wdaje się w walkę z przeciwnikami reform i ginie tragicznie. W rzeczywistości autor „Hadriana VII” nie zrobił kariery życiowej. Zaprząscał wszystkie swe zyciowe możliwości. Zrezygnowany wobec życia, niedoceniony jako pisarz, nieskoordynowany wewnętrznie, gwałtowny i nierozważny, ostatnie pięć lat swego życia spędził wśród gondolierów w Wenecji występując się bogatym tyrysiom.

Pozostawił po sobie książkę-autobiografię i dwie powieści również oparte o swój życiorys, z których ciekawszą jest „Hadrian VII” prawdopodobnie będącą pisarską realizacją jego marzeń.

WIKTOR HUGO — RYSOWNIKIEM

Ostatnio telewizja francuska nadała audycję o Wiktorze Hugo jako rysowniku. Wielki pisarz rysował często i dużo, ale dziś mało kto wie, że ten wybitny poeta i powieściopisarz uprawiał namiętnie i ten rodzaj artystycznej wyprawki. Rysunek nie był dla niego jedynie rozrywką, nie służył też nigdy do ilustracji jego utworów pisarskich. Hugo traktował swą sztukę plastyczną jako uzupełnienie twórczości poetyckiej. Charakterystyczne przy tym, że w momentach intensywnej pracy pisarskiej intensywnie również rysował.

Wiktor Hugo sam opowiadał swe rysunki, rozwieszał je na ścianach swego mieszkania lub ofiarowywał je swym przyjaciółom. Kilka rysunków o tematyce sta-



Rysunek Viktora Hugo. Studium ozaglowania.

rej architektury ukazało się w formie książkowej w roku 1863. Przedmowę do tych dzieł rysunkowych poety napisał Teofil Gauthier. Hugo najchętniej rysował architekturę na podstawie bacznej obserwacji, ale głównie dbał nie tyle o szczegóły ile o nastrój swych obrazków. Wyraźnie to widać np. w serii rysunków przedstawiających zamki nad Renem, gdzie w wyobraźni poety-rysownika dominuje nastrój melancholii i nieuchwytnego tragizmu. Ciekawe, że Wiktor Hugo nigdy nie malował. W swej pracy artysty-plastyka posługiwał się jedynie piórkiem i tuszem, rysował zaś tylko i wyłącznie na papierze. Cieszył się gdy nastrój który chciał oddać w rysunku przemawiał do widza. „Jestem szczęśliwy i dumny, że po doba się Panu to co nazywam moimi rysunkami...” — pisał kiedyś do Baudelaire'a.

W następnym numerze „Odgłosów”

- * NATALIA CANOVA — Kopernik w Rzymie
 - * JERZY URBANKIEWICZ — Szkoci i my
- oraz felietony, recenzje, nowela kryminalna



Goya. — Autoportret

I różnego rodzaju zabija. wienia na kartony do gotków. Kiedyś w jakiejś ubelbinów wytwarzanych w liczej zwadzie, w której królewskiej manufakturze.

WIEZIENIE NA GDAŃSKIEJ

W tym miejscu poświęconym krwią i męczeństwem — gdzie dziś jest Łódzkie Muzeum Rewolucyjnej, odbyła się sesja naukowa z okazji 10-lecia działalności tej placówki tak pieczołowicie pielęgnującej fakty, dokumenty i ślady tamtych trudnych lat.

Nie ma nic z przesady w stwierdzeniu dyrektora muzeum, mgr Tadeusza Czaplńskiego, że ogromne jest znaczenie muzeum w krzewieniu świadomości socjalistycznej, w przedstawianiu się wszelkim ten dencjom rewizjonistycznym, usiłującym podważyć rolę ruchu komunistycznego i robotniczego. Łódzkie Muzeum Ruchu Rewolucyjnego — jedyne tego rodzaju w Polsce — objęło swym działaniem ponad 1,3 miliona osób. Setki tysięcy zwiedziły sale dawnej kazińca zamknięte dziś w sale pamięci o tamtych latach walki, dziesiątki tysięcy wysuchały ponad 700 prelekcji i odczytów, ponad pół setki wystaw tematycznych zorganizowano tu z okazji różnych rocznic.

Rosną zbiory muzeum, rozwija się działalność badawcza, naukowa. O tych badaniach nad genezą ruchu komunistycznego w okręgu łódzkim mówiła na sesji doc. dr Barbara Wachowska — przedstawiając zarówno dorobek łódz-

kiego środowiska naukowego w zapoznaniu społeczeństwa z wyjątkowo bogatymi dziejami ruchu rewolucyjnego w regionie łódzkim, jak i trudności związane z dalszą naukową penetracją tego niezwykle ważnego tematu. Bogate zbiory muzeum są wszelkie podstawą do opracowywania rozpraw naukowych, popularno-naukowych, monografii. Dotychczas opublikowano ponad 60 prac — dalsze ukazujące się będą zgodnie z planem przygotowanym wspólnie z łódzkim środowiskiem naukowym, zajmującym się tematyką ruchów rewolucyjnych.

Wystąpienie doc. dr hab. Janusza Gołbiewskiego z Centralnej Szkoły Partyjnej poświęcone było ogólnym prawidłowościom rewolucji socjalistycznej. W tym referacie podkreślano mocno, że docenianie narodowej specyfiki rozwoju socjalizmu nie może w najmniejszym stopniu podważyć ogólnych prawidłowości, a pierwszą partią w Polsce, która postawiła te zagadnienia w sposób właściwy, była Polska Partia Robotnicza.

Rosną zbiory muzeum — przychodzą je oglądać młodzieńcy i starzy, przychodzą dzieci... Oglądają sztandary i unikalne fotografie, drobne, codzienne przedmioty, wykonywane przez

więźniów: warcaby, kubki — uczą się w ten sposób przeszłości narodu, nasycają swą świadomość tradycjami tamtych upartych zmagani uwiecznionych w dzisiejszym zwycięstwie.

Naprawdę trudno wymyślić choćby część, choćby najcenniejsze spośród zgromadzonych tu eksponatów. W Muzeum Ruchu Rewolucyjnego znajduje się 50 tys. mikrofilmów, na których utrwalono cenne dokumenty, znajduje się 4 tys. unikalnych fotografii, na których tamto — sprzed lat — rzeźby utrwaliły fragmenty działań polskich rewolucjonistów, utrwaliły ich samych...

Niezwykle cenny jest zbiór sztandarów. Od pierwszego powstańczego sztandaru łódzkiego oddziału z 1863 roku po sztandar KW PPR z roku 1945. Jest to także pierwszy w kraju sztandar przyznany za udział w współzawodnictwie pracy. Zdobyli go w 1945 roku łódzkie Zakłady Im. Dubois w młodzieżowym zrywem zwanym wówczas „wysięciem pracy”.

Dawne więzienie na Gdańskiej — dziś muzeum walki o nową Polskę — jest zaklętą w kamień historią naszego narodu, historią polskiej rewolucji.

JERZY WIDOK

Bez strachu

WYGLĄD I CZYNY

Myślę o Janie: „Jan nie dostrzegł danego słowa, Jan mnie okłamał, Jan pozyczył i nie oddał, Jan obmówił, sprzeniewierzył, pobił, zdradził i okradł... W niestosowny sposób ironizował, periodycznie — zawodził zaufanie, odstąpił, oszwabiał, nabijał w butelkę, pozyczył i nie oddał czyli znowu nadużył, obraził paranoiczną podejrzliwością, doprowadził do zguby i w zgubę tą pogrążył w kolejnych fazach maniacko-depresyjnych, bądź w skurczach i ozywieńiach swej proporcji psychostatecznej. Introwertyczny i antystyczny nie interweniował w kwestii ubożego staruszka, który na jego oczach zmarł w śniegu, nie mogąc doczekać właściwego autobusu, czy tramwaju i nie wsparty przez indolentnego i nie syntonicznego Jana gotówką na „taxi”. Takie były znane mi zle czyny Jana i jego zle bezczynności. Ale oto już przychodzi Jan i staje przede mną. Jan jest wysoki, ma dwa metry, waży sto czterdzieści kilogramów, wargi ma niezmiernie szerokie i obwisłe, jamę ustną pojemną, przetyk szerokimi (wszystko to pozwala mu jadać zupę mięsą wazową dzięki czemu osiąga wyborną oszczędność czasu). Otoż, kiedy Jan stał przede mną przysiadłszy, czy też przychodząc stając, mało istotne są wszystkie jego groźne i mierne uczynki. Ważny jest jego wygląd: w czasie jego nieobecności inwentaryzowaniem jego czyny, z chwila, gdy przybył, widzę go, a zatem opisuję już nie jego czyny lecz jego wygląd. O czynach czas będzie pomyślał potem i potem napisać — czyni Jana to ostatecznie moje mniemanie o jego czynach, to zespoli moich pojęć, zdań, sądów. Gdzie zbiorę wszystkich skrzywdzonych przez Jana, aby zbiorowym słochem potwierdził jego nieprawość? Natomiast widok Jana jest namacalny, konkretny... W wypadku, jeżeli mam wątpliwości w kwestii jego wzrostu, mogę przynieść miarke i zmierzyć, jeżeli w sprawie jego wagi biorę go za rękę i prowadzę do wagi — istotnie mierzy dwa metry, istotnie waży sto czterdzieści kilogramów. Obecność człowieka daje konkretną jego wzię, widzę, które poszczególne elementy podlegają pomiarom, co w eudowny sposób usuwa subiektywne uprzedzenia w ocenie człowieka czy ludzki... Oto jeżeli krytykę o pewnym środowisku złożonym z piętnastu osób: „Jesteście szlachetni!” czy „Jesteście podli!” oceny te mogą być rezultatem chwili lowego nastroju — jeżeli natomiast powiem „Ważycie łącznie netto tysiąc dwieście kilogramów!” — to twierdzenie to można w trybie doświadczenia potwierdzić, bądź obalić — bowiem twierdzenie to jest z natury oglądowe, empiryczne. Brak mi miary do zmierzania podłości, brak mi wagi do ważenia szlachetności — dlatego wypowiedział się o wyglądach, a tylko myślę o czynach.

BERNARD SZTAJNERT



Zazdrość

Gdy w południe wróciłem do domu, zastałem Margaret na werandzie. Od czasu kiedy nasza córka wyjechała na uniwersytet, moja żona ma dużo wolnego czasu i chętnie zajmuje się sprawami sąsiadów.

— Widział ta kokietka porozumiała się teraz z technikiem telewizyjnym — oznajmiła mi natychmiast.

Nie pytałem o jaką kokietkę tym razem chodził. Wpatrywała się w okna domu Hamiltonów, który stał po drugiej stronie ulicy. Przy chodniku zobaczyłem wóz z napisem: TV Service.

— Już tam jest przeszło godzinę. I to nie pierwszy raz.

— Widocznie zepsuł się telewizor. U nas też to się zdarza.

— Ale nie codziennie.

— Może ten telewizor jest gorszy od naszego.

— Wy mężczyźni zawsze jesteście gołowi znaleźć usprawiedliwienie dla takich kobiet jak Norma Hamilton.

— Przestań już! — Zniecierpliwiony zostawiłem Margaret na werandzie i poszedłem na górę żeby się przebrać. Okna mego pokoju wychodziły na ulicę. Widziałem czerwony dom Hamiltonów wśród kwitnących krzewów ogrodu. Furgonetka stała jeszcze. My korzystaliśmy z usług tej samej firmy. Przypomniałem sobie specjalistę, którego zwykle przysyłano do tej dzielnicy. Był to silnie zbudowany młody człowiek, niebieskooki blondyn, kwin tenesja męskości. Norma, piękna trzydziestoletnia kobieta przyciągała każdego mężczyznę. Także i ja, choć jestem już starszym panem z brzuszkiem i obolałymi nogami (stoje cały dzień przy fotelu dentystycznym), lubiłem go nie wzrokami za Normą, gdy kręciła się po ogrodzie w szortach i jedwabnej bluzeczce.

Niespodziewanie czarna limuzyna zatrzymała się na środku drogi w odległości około stu metrów od domu. Auto Hamiltona! Czulem, że obserwuje furgonetkę. Był właścicielem dużego sklepu w centrum miasta niedaleko mego gabinetu. Spotykaliśmy się często w tej samej restauracji na lunchu. Czyżby dzisiaj przyjechał, aby dla odmiany zjeść śniadanie w domu?

Margaret wpadła do pokoju. — Słuchaj, Arnold wrócił! Trzeba zatelefonować do Normy.

— Po co?

— Żeby ją uprzedzić. Jeżeli ich razem przyłapie, może być tragedia.

— Ośmieszysz się tylko. Zresztą już za późno.

Arnold stał przed bramą. Miałem wrażenie, że ręka mu drżała, gdy wkładał klucz do zamka. Wszedł do domu. Przywarliśmy do okna. Żadnego krzyku ani hałasu. Po kilku minutach technik wyszedł niosąc na plecach torbę z narzędziami. Furgonetka zniknęła w głębi ulicy.

— Zawiodła się, Margaret? — Po całonocnej wycieczce i zesłaliśmy do kuchni. Mogła już minąć godzina, gdy usłyszałem syrenę. Pobiegliśmy do drzwi. Auto policyjne zatrzymało się w miejscu, gdzie stał wóz TV. — Musiał się coś wydarzyć — szepnęła Margaret.

Przybyły jeszcze trzy maszyny. Są siedzi wylegli na ulicę, wśród tłoczno tego tłumy słychać było słowo: mordstwo!

— Musimy donieść policji o tym, co widzieliśmy — rzekła Margaret. — To nasz obowiązek.

— Masz rację, idę. Ty zostań w domu.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy. Policjant zatrzymał mnie na chodniku. — Kim pan jest? — zapytał.

— Nazywam się doktor Erwin Kay. Mieszkam naprzeciwko. Czy ktoś został zabity?

— Pani Hamilton. Proszę zaczekać.

Policjant wszedł do domu i wrócił za chwilę z jakimś wysokim mężczyzną. Detektyw Breen — przedstawił mi się.

Opowiedziałem mu o techniku i o tym, że Hamilton wrócił do domu o innej niż zwykle porze.

— Dziękuję bardzo, te wiadomości ułatwią nam śledztwo. — Detektyw przyglądał mi się bacznie.

— Czy się przyznał? — zapytałem.

— Hamilton? Nie. Twierdził, że technik zabił jego żonę.

— Ależ przeszła co najmniej godzina od chwili, gdy młodzieniec odjechał.

— Nie wiedzieliśmy o tym, bardzo ciekawe. Może pan pójdzie ze mną, panie doktorze?

Weszliśmy do gabinetu. Na lewo przy ścianie stał telewizor, po przeciwnej stronie siedział na tapczanie Hamilton. Oparł łokcie na kolanach, twarz zakrył dłońmi. Detektyw wprowadził mnie do pokoju sypialnego. Norma leżała na łóżku w kałuży krwi. Na podłodze zobaczyłem przedmiot, którym została zabita: wielki cynowy wazon.

— Panie doktorze — rzekł Breen — może pan obejrzeć zwłoki i powie nam, o której godzinie kobieta zmarła. Nasz lekarz policyjny jeszcze nie przyjechał.

— Ależ ja jestem tylko dentystą — zaprotestowałem.

— Przepraszam pana — rzekł detektyw i wyprowadził mnie z domu. Margaret czekała pełna niepokoju.

— Powinniśmy byli coś zrobić, może by do tego nie doszło. Ale ty nie chciałeś!

— Mówisz tak, jakby to była moja wina.

Margaret nie odpowiedziała. Usiadła w swym fotelu na bieżniach, podczas gdy ja spacerowałem po werandzie. Na ulicy wzmógł się ruch samochodów.

Po jakimś czasie z auta policyjnego wysiadł technik telewizyjny. Spojrzał ze strachem na zbrany tłum i wszedł do domu Hamiltonów.

— To jego wina, że Arnold zabił Normę. Ale na pewno nie mu nie zrobiła — złośliła się Margaret.

Technik wyszedł z domu w towarzystwie policjanta, który zabrał go do

samochodu. Niedługo później na ulicy pojawił się Arnold w towarzystwie dwóch policjantów. Tłum się ożywił, gdy wsiadł do samochodu. Potem detektyw Breen przyszedł do nas i przedstawił się mojej żonie. — Pani Kay, mąż opowiadał, że pani często widziała furgonetkę przed domem Hamiltonów.

— Trudno mi powiedzieć — zaczęła ostrożnie Margaret — jak to było często, ale chyba co kilka dni. — Czy nie przyznał się, że romansował z Normą? — zapytała.

— Zaprzecza, bo wie, że moglibyśmy to uznać za motyw zbrodni. Muszę państwu powiedzieć, że telewizor nie wymagał naprawy. A jednak pani Hamilton telefonowała do biura TV Service w sprawie zepsutego aparatu. Technik Larry Foster twierdził, że drzwi były otwarte gdy przyszedł do Hamiltonów. Wszedł więc bez dzwonięcia.

— Bo znał dobrze ten dom — wtrąciła Margaret.

— Mówi, że wiedział gdzie znajduje się telewizor. Przekreślił gałkę, aparat funkcjonował dobrze. Odczekawszy dziesięć minut technik postanowił odejść. W tym momencie zobaczył auto Hamiltona.

— Jaka jest wersja Hamiltona? — za pytałem.

— Mówi, że spotkał Fostera w przedpokoju już wychodzącego. Zatrzymał się jeszcze aby powiedzieć, że aparat jest w porządku i że pani Hamilton nie ma w domu. Potem odjechał. Hamilton poszedł do łazienki, następnie do sypialni gdzie znalazł żonę martwą. Dopiero gdy się otrząsnął z szoku za dzwonił do policji.

— Arnold nigdy nie przychodził do domu na lunch.

— Może coś podejrzewał? Pani Hamilton mogła wyjść na kilka minut i technik czekał na nią. Wróciła do domu po jego wyjściu... — Breen za stanął się. — Czy nie widzieliście jak wracała?

— Byliśmy w kuchni, jedliśmy śniadanie.

— Więc mogła wrócić i pokłócić się z mężem. W przystępnie zazdrości Hamilton schwytył pierwszy pod ręką przedmiot i uderzył żonę!

— Nie mogę w to uwierzyć — zauważyła Margaret. — Arnold jest taki łagodny i spokojny. To na pewno zrobił ten drugi. Raz przyszedł także do nas, nie podobał mi się zupełnie.

— Zobaczymy — rzekł Breen. Pożegnał się z nami i wyszedł. Został jeszcze na ulicy i rozmawiał z ludźmi.

Zbliżał się wieczór. Margaret wzięła się do sprzączenia. Margaret wzięła się do sprzączenia. Margaret wzięła się do sprzączenia.

— Czy pan jest jedynym detektywem, który zajmuje się tą sprawą? — zapytałem.

— O, nie! Jest nas wielu, ja sprawdzam opinie sąsiadów. Wszyscy twierdzą że Normie podobało się wielu mężczyzn.

— To jest opinia żony, ale nie moja.

— Czy pan też podobał się Normie? — Proszę mi się przyrzec, czy mogę się podobać młodej, fascynującej kobiecie?

— Lecz ona podobała się panu.

— Jestem normalnym mężczyzną, po znajomości ładną kobietę, lecz nie biegam za nią. Musi pan zwrócić uwa



Fot. W. Parus

gę na jakiegoś młodzieńca lub zazdrość snego meża.

— Moim obowiązkiem jest zwracać uwagę na wszystkich. Nie tylko pana znowa widziałam furgonetkę przed tym domem.

Po kolacji usiedliśmy z żoną w saloniku przed telewizorem. Tak przeszły trzy godziny. Wtem ktoś zadzwonił do drzwi.

— Kto może być o tej porze? — za pytała Margaret.

Widzieliśmy oboje kto dzwonił. Otworzyłem drzwi, wszedł Breen. Stał na środku pokoju i wpatrywał się w ekran, jakby przyszedł na widownię. — Ładny aparat — rzekł. — Czy często się psuje?

— Prawie nigdy — odpowiedziałem.

— Więc dlaczego Larry Foster przychodzi tu ciągle, żeby go reperować? Na ekranie ktoś się rozemniał, zgasił telewizor, Margaret siedziała w swym fotelu z rękami splecionymi na kolanach.

— Nie rozumiem — odpowiedziałem. — Zepsuł się kilka miesięcy temu i od tam dnia działa doskonale.

Breen wyjął z kieszeni kilkanaście złotych kartek. — Dali mi je w biurze TV Service. Ta są pokwitowania wezwań telefonicznych w sprawie na prawy telewizora. Dziewięć z nich po siada nazwisko klienta Kay, trzy — Hamilton. W ciągu siedmiu tygodni.

— To chyba jakaś pomyłka! — krzyknęłam. Lecz spojrzawszy na Marga-

ret zrozumiałem, że nie ma pomyłki.

— Jak wszystkie samochody, które tu przyjeżdżają, ciągnął dalej detektyw — samochód technika przybywał z prawej strony. Dlatego zatrzymał się przed domem Hamiltonów. Lecz Foster przychodził do was, ostatnio był osiem dni temu, potem dwa razy przyjechał do domu Hamiltonów. Reperacje były pretekstem żeby mógł wyjść z pracy w tym czasie, gdy pan pracował.

— Margaret! — zawołałem. — Mów coś, broń się!

Margaret wstała z fotela. — Dwadzieścia lat nudy! — krzychała nieswoim głosem. — Dwadzieścia obrzydliwych lat z tobą, niedołęgo! Dom ciągle pusty. W towarzystwie Fostera znowu bylam młodą, poznałam radość życia! A potem zobaczyłam Normę! Zabrała mi go... Ale ja... Błagałam ją, żeby go zostawiła, mogła przecież mieć wszystkich mężczyzn... Wyśmiała mnie, powiedziała, że jestem za starą dla Larry'ego. Schwyciłam wazon i uderzyłam ją...

— A potem zatelefonowała pani do biura TV Service podając nazwisko Hamilton i prosząc do naprawy telewizora technika Fostera, który już znał aparat. Pani zabiła, lecz zapłacić miał ktoś inny.

— Musiał być ukarany za zdradę — jęknęła Margaret.

Oprac. A. S.



BAJKA O CZEKANIU

Rzadko już dziś przypominany, wybitny poeta, bajkopisarz, tłumacz poezji łacińskiej, myślny i taternik, Julian Ejsmond, napisał między innymi bajkę o czekaniu, która zaczyna się tak:

„Czekał i czekał tramwaj, widząc, że na torze robotnicy w głębokiej kopali się norze. Czekali robotnicy — warszawskim zwyczajem — nie mogąc rozkopywać torów przed tramwajem...”

Sytuacja klasyczna. Podstawić trochę inne rekwizyty i będzie jak ułaj pasować do naszych, jakże częstych doświadczeń. Czekamy przecież wszyscy na wszystkich i to czekamy coraz dłużej. Dlaczego? Z bar dzo śmieszno i paradoksalnego powodu: czekamy, bo nie mamy czasu.

Już wydaje się kiedyś cytowałem wiadomość z prasy angielskiej o tym, że miejsce w szpitalu położniczym w Londynie trzeba zamawiać na wiele miesięcy naprzód. Jak tak dalej pójdzie — pisał angielski dziennikarz — panie będą musiały zamawiać miejsce w klinice na półtora roku przed rozwiązaniem. Dopiero

byśmy mieli planowanie rodziny! Przegapił się obojętny termin i kłapa! A przyczyna właśnie taka: klinika nie nadąża za potrzebami, lekarze i pielęgniarki dwoją się i troją, brakuje im czasu.

W sensacyjnej, choć przeciętnie naukowo przyprawionej, świetnie napisanej książce „Pitawał krakowski”, stanowiącej zbiór największych w historii Krakowa procesów kryminalnych, czytamy raz po raz o tym, że w najtrudniejszych sprawach poszlakowych, przy prymitywnych narzędziach i metodach, kończono śledztwo w dwa — trzy miesiące po zbrodni. Jeszcze pół wieku temu wystarczyło niespełna roku dla zakończenia trudnego śledztwa, przygotowania i przeprowadzenia procesu, skazania i powieszenia winnych. Dzisiaj w najbliższej sprawie o niedotrzymanie przyrzeczenia płacy, o klucz od strychu, o naprawę gwarancyjną czeka się na rozprawę latami; sąd czeka na świadka, świadek na wezwanie, powód na pozwanego, pozwany na amnestię. Sądy są bowiem zawałone pracą, do każdej sprawy angażują rzeczoznawców, biegłych ekspertów — którzy także są zawałeni pracą, świadkowie nie mogą się stawić bo akurat są w delegacji albo na konferencji albo na zjeździe, nikt nie ma czasu, wszyscy czekają.

Trzydzieści parę lat temu redagowaliśmy młodzieżowy miesięcznik. Skompletowany numer niósł się w rękopisie do drukarni, po trzech dniach nakład — małutki, ale nie w tym rzecz — był gotowy, dokładnie skorygowany, zbroszurowany i powiązany w paczkę. Kierownik drukarni informował nie bez dumy, że przyjmie teksty pisane nawet na odwrocie biletów tramwajowych, ołówkiem, przy świecy. Odczytywano bezbłędnie każde bazgroły. Dziś luksusowo wyposażo-

ne zakłady graficzne żądają czystości i precyzji maszynopisów, przyjmują je z wielomiesięcznym wyprzedzeniem, tygodniki drukują je na parę tygodni przed kolportażem, książki czekają na tak zwane światło dzienne po dwa lata i dłużej. Na książki zaś czeka uczeń i student. Zupełnie jak ten tramwaj na torze. Albowiem wydawnictwa, drukarnie i uczniowie nie mają czasu, są przeładowani zajęciami, muszą czekać.

Znam wiele instytucji, w których urzędnicy i dyrektorzy nie mają co robić i wynikłe stąd kompleksy niedowartości kompensują celebrowaniem każdej sprawy, jakiej uda im się wreszcie dopaść. Wtedy się petenta odsuwa, odwieka, czeka musi nabrać powagi, klient — przeświadczenia o swym natręctwie i o swej znikomości wobec Urzędu. To jest inny rodzaj czekania, nie o takim dzisiejszym. Mowa o tych — o wiele liczniejszych, znanych mi także instytucjach, w których urzędnicy i dyrektorzy mają za dużo spraw. Tym, którzy mają za dużo, dokłada się najwięcej, zgodnie z obiektywnym prawem przyrody społecznej. Mają za dużo spraw i dlatego żadnej nigdy nie złatwią ani dobrze, ani w terminie. Inna rzecz, że znaczna część tych niezliczonych „spraw” to zupełnie absurdalne, wy-naturzenia, pasożyty biurokratyczne, o których wielu ludzi (i sami wykonawcy) wiedzą, że naprawdę nikomu do niczego służyć nie mogą. Cóż stąd? One są, te sprawy, i zajmują czas. Czas, który momentalnie powoduje gdzie indziej oczekiwanie, czekanie...

Znow tak, jak w owej bajce Ejsmonda:

„...smutne jest życie człowieka, zwłaszcza tego, co czeka na tego, co czeka...”

CWIEK